Nr. 11. Warszawa, dnia 17 (5) Marca 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerwy w odbiorze pisma.

POLITYKA.

UMOWA RUSKO-NIEMIECKA.

I.

W chwili, kiedy bierzemy pióro do ręki, umowa rusko-niemiecka jest prawdopodobnie już faktem dokonanym. Po przebyciu rozpraw parlamentarnych w pierwszem czytaniu, odesłano ją najniepotrzebniej na kwarantannę komisyjną, z której wyszła po tygodniowej zwłoce i znowu znalazła się na porządku dziennym sejmu ogólno-niemieckiego w dniu 10 marca. Dopiero w ubiegłą sobotę okazało się, że owa zwłoka wydała sowite owoce. Jeszcze przed tygodniem losy umowy nie były pewne; opozycya ziemiańska stawiała buńczuczny opór, jej wtórował bardzo liczny odłam mameluków Bismarka z obozu narodowo-liberalnego, różne grupy zachowawcze i pół-zachowawcze, a śród nich zwarty zastęp posłów katolickich z południowych krajów Rzeszy. Z niepokojem więc oczekiwano, jaki będzie rezultat drugiego czytania. Otóż okazał się nadspodziewanie pomyślnym. Z owych chmur, które nagromadziły się nad umową, pozostały jedynie strzępy. Doszło do tego, że rząd niemiecki, który zaledwie ośmielał się marzyć o większości dwudziestu paru głosów, znalazł się w posiadaniu przeszło 50 po nad liczbę swoich przeciwników. Wobec tego, jakkolwiek nie mamy pod ręką wyniku rozpraw poniedziałkowych, ani chwili nie wątpimy, że już bez niebezpieczeństwa wytrzymają próbę ostateczną pozostałe paragrafy traktatu. Prawdopodobnie po za kulisami parlamentu oraz komisyi toczyły się żywe rokowania pomiędzy rządem a stronnictwami, które wydały tak nieoczekiwany, a przynajmniej nie oczekiwany w takich rozmiarach owoc.

Zanim przejdziemy do rozważania następstw, jakie pociągnie za sobą podpisana przez Rosyę i Niemcy umowa handlowa, nie od rzeczy będzie zastanowić się nieco nad okolicznościami, wśród których ujrzała ona światło dzienne po tamtej stronie granicy. Ziemianie niemieccy mają najzupełniejszą słuszność, kiedy twierdzą, że stanowi ona zupełny rozbrat z tradycyą rządów ks. Bismarka. Żelazny książę w swojej polityce wewnętrznej opierał się z jednej strony na królikach przemysłowych, z drugiej zaś na junkrach. Cała jego polityka celno-handlowa również zmierzała do tego, ażeby pielęgnować interesy tych dwu warstw narodu. Objęcie władzy przez Wilhelma II zmieniło postać rzeczy. Przedewszystkiem ofiarą padli junkrzy. Traktaty handlowe z Austro-Węgrami, następnie z Rumunią, obecnie zaś z Rosyą — to ciosy, zadawane przez rząd niemiecki swojskiemu ziemiaństwu. Junkrzy naprzód protestowali łagodnie. Wychowani w wiekowej tradycyi szacunku dla powagi monarszej, dość cierpliwie znieśli pierwsze zawody. Ale taktyka rządu szła niezmiennie raz obraną drogą, a jednocześnie współzawodnictwo na rynku stawało się coraz zacieklejszem. Zdaje się nawet, iż osoby, stojące u steru, zwątpiły wprost o możności utrzymania warstwy rodowego ziemiaństwa, przynajmniej takie wrażenie odnieśliśmy swego czasu z rozmowy kanclerza Capriviego z hr. Manteufflem, jednym z matadorów „agrarczyków“ niemieckich — rozmowy, która ku schyłkowi przeszłego roku sprawiała w prasie bardzo dużo wrzawy. Kiedy ów hr. Manteuffel zrobił uwagę, że dzisiejsi ziemianie wobec grożącej im sytuacyi muszą zbankrutować, naówczas kanclerz miał rzec: „A niechaj bankrutują, inni za tanie pieniądze nabędą obdłużone majątki.“ To znaczy, cena ziemi spadnie, a ponieważ koszty kupna będą niższe, zatem nowa warstwa ziemian będzie zadowoloną z dochodów mniejszych. Dzięki takiej zmianie, dokonanej w takich warunkach, rolnictwo niemieckie stanie znowu na nogach! Wyrok to nielitościwy — dla rodowego ziemiaństwa i prawdopodobnie rząd niemiecki, jeżeli wydał go, nie łatwo zgodził się na taką konieczność, ale zarazem jest to jedynie racyonalna droga ze stanowiska interesów państwowych. Może wyrażenie hr. Capriviego nie było tak ostre, jak podawały organa ziemiańskie, ale, bądź co bądź, brzmiało podobną treścią, bo prasa półurzędowa nie pośpieszyła ze sprostowaniem. Słowem, jakiekolwiek działały pobudki, dość iż rząd od dwóch lat zawrócił energicznie, i swój zwrot zaznaczał coraz jaskrawiej, od dawnych tradycyj uważania ziemian za źrenicę w oku narodowem. Obywatelstwo ziemskie poczęło sarkać, naprzód pocichu, potem zaś wywiesiło sztandar otwartego rokoszu. Przed rokiem poczęła się silna anti-rządowa agitacya we wschodnich dzielnicach państwa pruskiego, która zakończyła się olbrzymim wiecem, pono liczącym do dziesięciu tysięcy uczestników, w Berlinie i zorganizowaniem związku rolniczego. Związek naturalnie ogłosił księcia żelaznego za swojego proroka. Walka przeciwko rządowi przybrała postać gwałtowną. Doszło do tego, że prasa liberalna czyniła systematyczne porównania pomiędzy społeczno-demokracyą a „agrarczykami.“ Wreszcie w drugiej połowie przeszłego roku rozeszła się wieść o układach z Rosyą. Zerwała się wtedy istotna burza, która wywołała w parlamencie nader gwałtowne zajścia podczas obrad nad traktatem z Rumunią. Jakiś przedstawiciel interesów ziemiańskich odważył się ministrowi związkowemu, v. Marshallowi, cisnąć w oczy

obelgą, że działa ze szkodą dla interesów junkierskich, ponieważ jest — niemcem, tj. nie poddanym pruskim! Później rozpoczęły się wiece zbuntowanego ziemiaństwa, intrygi, dążące do wywołania nieporozumień pomiędzy gabinetem pruskim, więcej dbałym o interesy von-puttkamerszczyzny, a kanclerzem, plotki o niełasce hr. Capriviego. Poruszono w ruch wszelkie sprężyny, nawet użyto dworskich. Wilhelm II był nieprzebłagany w swojej polityce celnej. Jeszcze później ukazały się kłótnie o taryfy kolejowe, zarzuty Saksonii i Bawaryi przeciwko Prusom. Była chwila, kiedy rząd sądził, że wypadnie mu rozwiązać parlament. Jak wiemy obecnie, wszystkie obawy okazały się płonnemi i cały rokosz ziemiaństwa spełzł na niczem.

A zatem przegrało ono sprawę. Nie tylko ono. Wraz z porażką junkrów, wielki ich wódz również usunął się ze sceny. Pojednanie Wilhelma II z Bismarkiem było krokiem w najwyższym stopniu zręcznym. W ciągu paru tygodni, które upłynęły od owej chwili, okazało się, że wizyta monarchy pogrzebała ex-majordoma w grobie. Lecz nie sądźmy, aby ta przegrana była czemś przypadkowem. Pamiętajmy, że w obecnej chwili, z powodu wystawy w Chicago, przemysł niemiecki obchodzi dnie ekonomicznego Sedanu. Ziemianie przegrali, ponieważ życie w Niemczech przesunęło swój punkt ciężkości od nich ku żywiołom przemysłowo-miejskim. Podobny przełom przebywała Francya w r. 1830-ym, kiedy na gruzach szlacheckiego rojalizmu zapanowała mieszczańska monarchia Ludwika Filipa. Poniekąd w podobnym stosunku do siebie stoją epoki Wilhelma I i „nowego kursu.“

Zaznaczywszy te okoliczności, przechodzimy do rozpatrzenia następstw ekonomicznych zawartej umowy. Podkreślimy tylko jeszcze jedną okoliczność. Traktat zawarty posiada nie tylko znaczenie czysto gospodarskie. W obecnej epoce, kiedy ekonomia zaczyna nawet w dziedzinie stosunków międzynarodowych coraz silniej przewodzić polityce, umowa ta wywrze przemożny wpływ na ukształtowanie stosunków politycznych pomiędzy sąsiadami, którzy podali sobie dłoń zgody na polu handlowem. Wypowiada to wyraźnie prasa ruska.

W.

Z AUSTRYI.

Sielanka polityczna. — Tajemnice reformy wyborczej. — Oryginalny prezes policyi. — Choroba hr. Taaffego.— Projekt rządowy. — Zgorszenie ogólne. — Odpowiedź hr. Hohenwarta.

Mieliśmy w Austryi przez całe ćwierć roku sielankę polityczną, jakiej nie widziała nigdy jeszcze monarchia habsburska. Nic nie przerywało ciszy, wśród której odzywały się chórem anielskim hymny zjednoczonej prasy na cześć rządu koalicyjnego. Tylko sprawa żaków szkolnych, skazanych w Pradze na wieloletnie ciężkie więzienie i zgromadzenia robotników, domagających się prawa wyborczego, przerywały od czasu do czasu błogi ten spokój złowrogim jękiem lub zgrzytem. Mimo to nikt chyba nie łudził się co do trwałości tego nastroju pokojowego. Dla wszystkich było jasnem od samego początku, że rząd koalicyjny w Austryi dopóty tylko posiada warunki bytu, dopóki pozostaje bezczynnym. Z chwilą, w której powstaje dlań konieczność działania w tym lub owym kierunku, słaba ta tkanina pruje się ze wszystkich stron.

A konieczności tej nie mógł ujść gabinet ks. Windischgrätza żadną miarą. Objął on spadek po hr. Taaffem i musi spłacić dług zaciągnięty przez spadkodawcę. Hasło reformy wyborczej, rzucone raz pomiędzy tłumy, stworzyło dla rządu miliony wierzycieli, którzy nie dadzą zbyć się gołemi słowy. Lecz pomijając ten czynnik, którego siła wzrasta z dniem każdym, pozostaje jeszcze główna przyczyna, która popchnęła hr. Taaffego w kierunku reformy, a popycha obecnie jego następców — wola cesarza. Z czasem zaczyna przerzedzać się mgła, otaczająca pierwsze dzieje projektu, który spowodował upadek hr. Taaffego. Przypuszczano zaraz, że myśl reformy wyborczej posiadać musi w rządzie samym obrońcę o wiele potężniejszego, niż były kierownik gabinetu. Dziś nie ulega to już wątpliwości, a dla domyślniejszych odsłania się już nawet droga, którą myśl ta dostała się do sfer najwyższych. Wskazują tu ogólnie prezesa policyi wiedeńskiej, Stejskala, jako owego, który w podaniu, wniesionem bezpośrednio do cesarza, wykazał po raz pierwszy konieczną potrzebę uspokojenia wzburzonych mas i podał myśl reformy popularnej, określając ją tak zręcznie, że wszczepiła się ona głęboko w umysł monarchy, pod hasłem mianowicie „prawa wyborczego dla żołnierzy“ (Soldatenwahlrecht). Wiele jest prawdy w tej pogłosce, nie da się zapewne nigdy stwierdzić. To przyznać należy, że Stejskal nie jest prezesem policyi, należącym do zwykłego typu urzędniczego, lecz człowiekiem o szerokich poglądach i wyższym polocie, który istotnie w danej chwili mógł się zdobyć na krok tak niezwykły i stanowczy.

Zagadkowem pozostanie chyba zawsze postępowanie byłego prezesa gabinetu. Dlaczego hr. Taaffe wywiązał się z polecenia udzielonego mu przez cesarza w sposób równający się bezsprzecznie samobójstwu politycznemu? Dlaczego gracz ten nad gracze rzucił odrazu karty swe na stół i oddał się tem samem w ręce swych przeciwników? Dlaczego zraził on sobie lekkomyślnie własnych sprzymierzeńców, występując ku ich niespodziance w parlamencie z gotowym projektem reformy? Na pytania te dziś tak samo niemożliwem jest znaleźć odpowiedź, jak przed poł rokiem. Zwolna jednak i tu zaczynają wyłaniać się różne domysły, pomiędzy którymi jeden szczególnie dla swej uderzającej prostoty zwraca na się uwagę. Twierdzą tu, że hr. Taaffe, cierpiący oddawna na chorobę nie-

---

[1]

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

I.

Jak mi się nie chce otwierać powiek! Wiem, co zobaczę: przedewszystkiem przykra, twarda jasność dnia jesiennego uderzy mię prawie boleśnie w zmęczone oczy; później powitają mnie nieodzowne sprzęty, głupio tkwiące pod ścianami. Nienawidzę tych brudnych ścian, nienawidzę suchotniczego chrypienia samowara, przy którym Jadzia zaparza w kuchni herbatę; nienawidzę stołka, na którym leży ubranie...

Jadzia naturalnie w ruchu od godziny: w okropnym białym kaftaniku i w pasiastej halce. Sprząta, czyści — a wszystko robi bez hałasu, przesuwając się jak cień z twarzą skupioną w sobie. Nienawidzę cichego stąpania jej przydeptanych pantofli, nienawidzę białych kaftaników.

Teraz napewne wygląda oknem, badając, czy Antkowi nie grozi słota w drodze do szkoły. Po co? — Czy ona nie widzi, że jest szary dzień jesienny, że blaszane dachy świecą obrzydliwie, oślizgłe wilgocią i że, jak okiem zajrzeć, snują się wyziewy, dymy i mgły...

Teraz wchodzi do dzieci i woła z przejęciem:

— Dzieci, wstawać — ósma zaraz!

Po chwili stanie przy mnie — już jest.

— Wstawaj, Józiu, bo zaśpisz, jak wtedy.

Wiecznie jakieś „wtedy,“ które mi co rano wypomina!

— Nie śpię.

Może sobie pójdzie? Nie, czuję, że stoi.

— Wstajesz?

— Wstaję.

— Gdzie schowałeś pieniądze?

— Nie chowałem.

— Kiedy w surducie niema.

— To niema.

Chwila milczenia.

— Józiu!?

— Co?

Wiem, co teraz powie. Powie: „cóż ty sobie myślisz.“

— Cóż ty sobie myślisz, Józiu, wczoraj przecie miałeś pięć rubli?

I wiem również, co odpowiem! Odpowiem: „nic sobie nie myślę.“

— Nic sobie nie myślę.

Jadzia znowu milczy. Skaranie z tą śmieszną kontrolą!

— Weź w górnej kieszeni kamizelki.

— Rubel tylko?

— Więcej nie mam.

Jadzia bez odpowiedzi bierze pieniądze, zrzuca cicho stąpające pantofle i kładzie trzewiki. To znaczy, że idzie do sklepiku, chociaż mogła to zrobić Janowa. Sto razy mówiłem, żeby mi sama nie czyściła butów — i zawsze mi na złość wyczyści! Sto razy kazałem, że baba ma chodzić do sklepiku — na złość sama chodzi. Ach, jakże ja nienawidzę tego wiecznego poświęcania się, o które nikt nie stoi! Wszystkich tych cichych cnót i bolejącego oblicza Madonny wobec lada stłuczonej szklanki! A — to trudno...

Dzieci wstają. Właściwie wstaje Antek, na którego, jak Jadzia przed chwilą na mnie, wołam machinalnie:

— Antku nie marudź, bo się spóźnisz, jak wtedy...

Trzeba wstawać — ale teraz właśnie Antek się myje. Czemu ten Antek taki czerwony, zdrowy ćwik, a Maryjka zawsze bladziutka, jak opłatek?

— Żuczek, chodź no tu — przyjdź do tatusia.

Przychodzi cichy, mały żuczek w koszulinie — wypatruje mnie oczkami i uśmiecha się cichutko.

— Czemu ty, maleństwo, takie blade, co?

Będzie z niej druga edycya poświęcającej się Madonny. Jaka ona naprawdę podobna do Jadzi: takie same duże, rzewne i przepaściste oczęta, taki mały uśmiech w kącikach ust. Ona już nawet umie czoło przecierać łapką, jak czasem Jadzia. Dwa biedactwa!..

Czemu ja właściwie nie powiedziałem jej, że pieniądze wydałem wczoraj na te przyrządy? Zresztą wszystko mi jedno.

Zegar wydzwania ósmą,

Maryjka podnosi paluszek i mówi:

— Godzinia...

— Tiak — godzinia. Tatuś się będzie teraz ubierał, a żuczek pójdzie do braciszka.

uleczalną, używał w ostatnim roku w niezwykłych dozach narkotyków dla uśmierzania bólu. Faktem jest, że podczas pobytu swego w Meranie, gdzie bawił w miesiącu ubiegłym, poddał się on kuracyi dla odzwyczajenia się od morfiny. Być może więc, że w chwili, gdy przyszło mu odrazu rozejrzeć się w położeniu tak dlań niezwykłem, jakie stworzyła nagła konieczność wniesienia projektu reformy wyborczej, umysł ten, zresztą tak bystry, pod wpływem słabości fizycznej uległ przemijającemu zaćmieniu. Zagadkowe zajścia polityczne tłomaczą się często tak błahemi i przypadkowemi okolicznościami.

A jednak odsunięcie reformy wyborczej nie ulegało żadnej trudności przy pomocy owego systemu przewlekania, w którego stosowaniu hr. Taaffe był mistrzem niezrównanym. Okazuje się to teraz, gdy system ów wraz z resztą spadku po nim przeszedł w ręce jego następców. Rząd koalicyjny musi przeprowadzić reformę wyborczą. Przyznaje się on sam do tego obowiązku i pozornie zabiera się też do spełnienia go. Nie musi on jednak bynajmniej przeprowadzić tej reformy w tym samym duchu, w jakim podjętą została przez hr. Taaffego, ani też w ciągu jakiegokolwiek ściśle określonego czasu. Może on wystąpić z przedstawieniem swojem tak samo w tym lub przyszłym roku, jak za lat pięć lub dziesięć — jeśli tak długo przeciągną się prace przedwstępne. Otóż sądząc z tego, co widzimy obecnie, prace te gotowe istotnie potrwać bardzo długo.

Porozumiawszy się z przywódcami trzech klubów koalicyjnych, ogłosił rząd w tygodniu ubiegłym „zarysy" przyszłego swego projektu. Krok ten nie zobowiązuje go jeszcze do niczego. To, co usłyszeliśmy z ust ks. Windischgrätza, jest zaledwie projektem projektu, lekkim puchem, który rozwieje się przy najlżejszym powiewie wiatru.

Przypatrując się bliżej temu oświadczeniu, spostrzegamy, że omija ono ostrożnie wszystkie drażliwsze punkty pierwotnego projektu reformy. Rząd zapowiada reformę, która w istocie nie jest już zasadniczą, lecz zaledwie powierzchowną zmianą istniejącego obecnie stanu rzeczy. Nie zamierza on bowiem usunąć żadnej z zasad, na których opierają się dotychczasowe ustawy wyborcze: ani cenzusu podatkowego, ani systemu przedstawicielstwa interesów. Stwarza on tylko obok istniejących już czterech kuryj: wielkiej posiadłości, Izb handlowych, miast i gmin wiejskich—kuryę piątą dla stanu robotniczego. I tu jednak dąży on tylko do zmiany połowicznej. Prawo głosowania mają bowiem otrzymać tylko ci robotnicy, którzy najmniej od dwóch lat należą do jednej z kas chorych. Otóż instytucye kas chorych obejmują jedynie robotników przemysłowych i rękodzielniczych. Wszyscy robotnicy wiejscy będą przeto i nadal wykluczeni od prawa wyborów. Piątej tej kuryi, którą możnaby nazwać kuryą najuboższych, nadaje projekt rządowy 43 mandaty. Wyraźniejszą jeszcze jest połowiczność tego projektu w kwestyi drugiej, dotyczącej bezpośredniego prawa wyborczego, czyli innemi słowy„zniesienia wyborów pośrednich w kuryi wiejskiej. W kwestyi tej stanął rząd ku ogólnemu zdumieniu odrazu na stanowisku autonomii krajowej. Nie rozstrzyga on jej wcale, lecz pozostawia sejmom krajowym możność orzeczenia, czy w danym kraju kurya wiejska ma głosować bezpośrednio, czy też w dotychczasowy sposób. Jest to wybieg dość zręczny, przy pomocy którego rząd pozbywa się odpowiedzialności i wkłada ją na cudze barki. Autorowie projektu wiedzą bowiem doskonale, że większość sejmów krajowych, w których przeważa żywioł konserwatywny, będzie głosowała za utrzymaniem obecnego systemu wyborów pośrednich. Aby zaś zapobiedz na przyszłość skutkom, mogącym wypłynąć z przewrotu stosunków w sejmach krajowych, projekt rządowy w dodatku do powyższego ustanowienia zadaje kłam zasadzie autonomicznej, którą uznał w poprzednim ustępie. Zastrzega bowiem, że prawo decyzyi, czy wybory w kuryi wiejskiej mają być pośrednie lub bezpośrednie, będzie przysługiwało sejmom krajowym tylko w pierwszej chwili, że zaś następne sejmy nie będą mogły już zmienić tej uchwały.

Mamy więc przed sobą projekt we wszystkich swych częściach połowiczny i niemogący dogodzić nikomu. Nie zadawala on robotników, gdyż nadaje im tylko drobną i ograniczoną z góry liczbę mandatów. Nie zadawala liberałów, gdyż otwiera wrota parlamentu właśnie najniebezpieczniejszemu wrogowi burżuazyi liberalnej—proletaryatowi przemysłowemu, a wyklucza nieszkodliwych dla niej robotników wiejskich. Nie zadawala też wreszcie konserwatystów, gdyż życzenia ich w kierunku autonomistycznym uwzględnia w bardzo szczupłym tylko zakresie.

To też oświadczenie rządowe wywołało zgorszenie we wszystkich trzech obozach koalicyjnych. Gmach koalicyjny zachwiał się odrazu w swych podstawach. Podczas gdy w ostatnich miesiącach cała prasa austryacka była prasą rządową, w ostatnim tygodniu mieliśmy same tylko organy opozycyjne, których łamy zapełnione były ostrą krytyką zamiarów rządowych. Wreszcie oświadczyli się przeciw projektowi zwołani przez ks. Windischgrätza przywódcy trzech klubów parlamentarnych. Oświadczenie Koła polskiego brzmi jak zwykle wymijająco. Natomiast liberałowie niemieccy wystąpili przeciw zamiarom rządowym w formie dość otwartej i stanowczej.

Najostrzejszem było, ku ogólnemu zdziwieniu, oświadczenie konserwatystów, którym reforma rządowa grozi przecie najmniejszym stosunkowo uszczerbkiem politycznym. Przewódca ich, hr. Hohenwart, odpowiedział na projekt ks. Windischgrätza projektem własnym, z którego wynika jasno, że konserwatyści czują się w tej chwili panami sytuacyi politycznej w Austryi i że nietylko nie chcą stracić na reformie wyborczej, lecz przeciwnie, chcieliby jeszcze przy niej skorzystać.

Projekt hr. Hohenwarta dąży do przywrócenia ustaw, obowiązujących przed r. 1873, a więc do wybierania członków Rady państwa przez sejmy. Występuje on przedewszystkiem przeciw powiększeniu ogólnej liczby mandatów i żąda, aby Izba poselska składała się i nadal z 353 posłów. Ponieważ jednak chce równocześnie stworzyć nowe mandaty dla robotników, przeto musi odebrać je innym grupom społecznym, a więc naturalnie mieszczanom i wieśniakom. Dotychczas kurya miast wybiera 117, kurya wiejska 130 posłów. Przewódca konserwatystów chciałby cyfry te,

---

— A mama ublana?

— Ublana, ublana i zaraz Maryjce przyniesie bułeczki.

Po chwili wraca Jadzia zadyszana — z jakiemiś szczyptami prowizyi w białych tutkach. Ten widok zawsze mię nabawia irytacyi. Milczy naturalnie, nie racząc zwracać na mnie uwagi, jako na rozrzutnika, który itd. Antek pucuje drugą bułkę, a trzecią jednocześnie pakuje do tornistra Maryjka już siedzi na wysokiem krzesełku i smętnie czeka, aż mama ostudzi mleczko.

— Lekcye umiesz — pytam Antka.

— Oho, doskonale!

Prawdopodobnie umie, bo ma zamiłowanie do kucia, które jednak załatwia szybko między zabawą, a wieczornem czytaniem Robinsona. Za to smarkacz z Hożej będzie mi zatruwał życie niepojętą tępością i wykrętami. Późno już — ledwie zdążę w milczeniu połknąć herbatę, która parzy jak ukrop.

— Nie mogłaś mi nalać wcześniej.

Żałuję już tego odezwania się, ale Jadzia z cielęcą pokorą odpowiada.

— Przepraszam cię — dziś wszystko trochę później.

Właściwie sam jestem winien, bo nie miała pieniędzy, a mnie nie chciała budzić. Przy wyjściu przypomina mi, żebym wstąpił do redakcyi, bo może mają przepisywanie.

— Daj mi spokój — byłem wczoraj i znowu będę latał.

Na nieszczęście od rogu ulicy muszę wracać: zapomniałem przyrządów!

Jadzia spotyka mię z nimi w sieni — prawie jej wyrywam z rąk i pędzę na Hożą.

Gdyby nie słotny dzień, który zagląda przez ogromne okno szkolnego pokoju, gdyby nie to, że zapomniałem papierosów i gdyby, przedewszystkiem, nie rozpaczliwie zaspany głos niedołężnego smarkacza, możebym ostatecznie umiał mniej cierpieć nad jego bąkami, z których się głównie składa t. z. pogadanka.

To, że się spóźniłem o kwadrans, mnie tylko zaszkodzi: będę musiał pędzić na oślep z Hożej na Żabią. Za oknem wtórują lekcyi lube dźwięki podwórza czteropiętrowej kamienicy. Co chwila włazi handel — i prawie pod przysięgą malec się zawsze zasłucha w jego wołanie. Później skrzeczącym głosem kościarka kupuje kości. Później następuje chlupanie pompy i plusk wody po asfalcie. A po nad wszystkiem sterczy narożnik kamienicy, niezmiernie głupio przystrojony rogiem obfitości, z którego teraz sączy się brudna woda deszczowa. Druga godzina z dziewczyną przemija szybciej, bo tu już z góry wiem, że nie mam o co pytać — tylko trzeba mówić, mówić, mówić... Panna się obraża, jeżeli ją badam zbyt szczegółowo w drażliwych sprawach trawienia. Zresztą Mama z uprzejmym uśmiechem zastrzegła, „że Janina jest tyle pojętną, iż dość będzie, gdy pan zechce tylko wyłożyć swój przedmiot, naturalnie wedle możności, poglądowo." Rozumie się, że „poglądowo." Zresztą — wszystko mi jedno, byle bym dziś dostał pensyę. Jest to dom bardzo porządny, jak się już przekonałem w licznych terminach, więc punkt o 11-ej wchodzi pani.

— Czy nie przeszkadzam?

— O, proszę bardzo.

Pani z dystynkcyą zwraca się do córki.

— Janino, włóż okrycie, bo zaraz wyjedziemy.

To oznacza, że będzie mała rozmowa pedagogiczna. Pani zagłębia się w fotelu, trzymając niewidocznie dyskretną kopertę. Czuję, jak się pode mną pali krzesło: co będzie z lekcyą na Żabiej?

— Proszę pana, mam tu wielką prośbę.

— Czem mogę służyć?

Pani wreszcie zdobywa się na odwagę.

— Mój synek młodszy jest już w tym wieku, że pragnęłabym rozpocząć z nim systematyczny kurs. Myślę, rozumie się, o pogadankach. Wiem, że pan głównie udziela starszym dzieciom, ale jednak możeby pan to dla nas zrobił. Mój mąż i ja — pokładamy taką ufność w panu... Właśnie mąż sam chciał się z panem rozmówić.

Ale naturalnie nie miał czasu. Gdyby nie Żabia ulica, możebym nawet z ciekawością rozmawiał z tą panią typu rządnych i porządnych. Ale tak — szybko załatwiamy się z tem, że owszem zdaje mi się, iż znajdę jeszcze jedną godzinę — chociaż cierpnę na myśl, że to już będzie prawdziwa bezlitośna bakałarka. Następnie, po raz nie wiem który, uspakajam panią, że „dzisiejsza pedagogika uważa przyrodę itd." Wreszcie „obniżam nieco poziom wymagań," tj. biorę dodatkowo 10 rs. i wypadam z białą kopertą.

— Na Żabią! (D. c. n.).

i tak zbyt szczupłe, ograniczyć jeszcze bardziej. Równocześnie zaś stosuje on do miast i wsi zasady autonomii i żąda, aby nie wysyłały one posłów swych wprost do Rady państwa, lecz aby swe prawo wyboru przelały na sejmy. Natomiast obecny stan rzeczy ma pozostać nietkniętym dla kuryi wielkiej własności i Izb handlowych. W obu tych kuryach, jako też w nowych Izbach rękodzielniczych, wybory odbywałyby się bezpośrednio. Wreszcie mniej więcej czwartą część ogólnej liczby posłów do Rady państwa wybieraliby wszyscy wyborcy drogą ogólnego głosowania również wprost bez pośrednictwa sejmów.

Nie ulega wątpliwości, że ostrze tego projektu zwrócone jest przeciw mieszczaństwu i ludności wiejskiej i że autonomistyczne jego dążności stoją dopiero w drugim rzędzie. Wątpliwem jest jednak, czy sam autor projektu bierze wnioski swe na seryo i czy nie kieruje się tylko zasadą, że chcąc utargować dla siebie część, trzeba żądać wszystkiego. W każdym razie opór jego jest najlepszą przysługą, jaką może on wyświadczyć gabinetowi w tej chwili. Odsuwa urzeczywistnienie reformy wyborczej w nieskończoność i wpycha sprawę, która groziła wydostaniem się na widownię publiczną, napowrót po za kulisy parlamentu.

S--l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak to przepowiadaliśmy od początku, sejm niemiecki, odegrawszy komedyę oporu i obrad komisyjnych, przyjął ostatecznie traktat handlowy z Rosyą bez żadnej zmiany. Ponieważ Rada związkowa naturalnie nic będzie miała nic do powiedzenia, więc od d. 20 marca stosunki celno-handlowe między obu państwami wejdą w epokę harmonii, a wzniesione z dwu stron mury taryfowe bądź runą zupełnie, bądź zmniejszone zostaną znacznie. Na innem miejscu rozpoczynamy rozważanie ekonomicznych skutków świeżo zawartej umowy; tu więc tylko wspomnimy, że doprowadzenie jej do celu nie obeszło się bez walk i ofiar zarówno w łonie sejmu, jako też w sferze rządu. Niektórzy posłowie oddali swe głosy jedynie dla ocalenia Capriviego i dogodzenia cesarzowi, między ministrami zaś pozostał kwas niesnaski. Zwłaszcza Miquel, któremu dotychczas nie udaje się kuracya finansów pruskich i któremu traktat uszczupli źródła podatkowe, czuje urazę do kanclerza i straszy swych wielbicieli dymisyą. Wilhelm II stara się widocznie złagodzić tę waśń, gdyż obu swych doradców lubi.

Dlaczego p. Kościelski złożył nagle swój mandat poselski do sejmu niemieckiego? Zagadki tej nie wyjaśniono. Następujące rozwiązanie jej wydaje nam się dość prawdopodobnem: p. Kościelski zwykł był iść o kilka kroków dalej, niż jego towarzysze z Koła, w swej gotowości do spełnienia wszelkiej woli cesarza i był bezwzględnym wyznawcą „nowego kursu.“ Między nim więc a Kołem musiała wytworzyć się jakaś, zbyt wielka różnica poglądów, która spowodowała go do opuszczenia szeregów.

Cesarzowa niemiecka wyjechała do Abazyi, a wkrótce za nią podąży mąż. Pogłoska twierdzi wprawdzie, że nie on jedzie tam dla żony, ale ona dla niego.

Lord Roseberry objął już urzędownie przewodnictwo w partyi liberalnej i gabinecie. Wszystkie charakterystyki tego następcy „wielkiego starca“ nie wskazują rękojmi, upewniającej, że uczeń pójdzie drogą mistrza. Mowa tronowa, ułożona naturalnie przez nowego „premiera,“ nie wspomina ani o bilu irlandzkim, ani o wojnie z Izbą lordów, o dwu najważniejszych zadaniach, jakie Gladstone przekazał swojemu politycznemu spadkobiercy. Lord Roseberry starał się uspokoić obawy i oczekiwania co do obu tych spraw w przemówieniach osobistych. Nie zrzeka on się ani bilu, ani walki ze strupieszałem ciałem, do którego sam należy z urodzenia, czyni to jednak w słowach tak mało obowiązujących i niejasnych, że trudno dociec, co zamierza uczynić w jednym i drugim kierunku. Być może zresztą, że brzmienie tych słów zostało w telegraficznych doniesieniach zmącone.

W ostatnich dniach przywódca radykałów, Labouchere, spłatał lordom figla, który może stać się dla nich bardzo niebezpiecznym. Mianowicie przeprowadził on przez Izbę gmin wniosek, że osoby, które nie posiadają mandatu poselskiego (a więc i lordowie) nie mają prawa znoszenia ustaw.

Chyba nikt nie wątpił, że Izba francuska odrzuci wniosek Bourgeois, żądający rewizyi konstytucyi. Obecnej większości ciała prawodawczego zbyt jest dobrze na świecie, ażeby ona miała niszczyć dobrowolnie podstawę swego szczęścia. Więc tylko posypano tę sprawę grubą warstwą słów gorzkich i schowano ją do archiwum, skąd jednakże kiedyś wyjdzie.

W Hiszpanii nowy gabinet pod przewodnictwem Sagasty objął rządy. Znamy już tę markę.

Tym razem podobno na prawdę walka w Brazylii przechyliła się na stronę partyi rządowej i prezydent Peixoto wyjdzie z niej wkrótce jako tryumfator. Byłoby to wielce pożądanem nietylko dla Brazylii, ale i dla Europy, zmuszonej codzień opisywać jej nieskończone awantury.

BADANIA NAUKOWE.

POGRZEBY LUDZI ŻYJĄCYCH.

Chiński misyonarz, Piton, opisuje w ostatnich biuletynach towarzystwa geograficznego neuchatelskiego straszliwy sposób, w jaki mieszkańcy Chin północnych zadają śmierć przestępcom albo ludziom, których z jakiegobądź powodu pragną się pozbyć. Zwyczaj ten znajduje się w związku z geograficznymi warunkami kraju, mianowicie z jego budową geologiczną, z wierzeniami religijnemi, wreszcie z bezlitośnym charakterem chińczyków, wypływającym z przeludnienia, a właściwie z bardzo ciężkiej walki o byt.

Podczas mego pobytu w Chinach — mówi Piton — uderzony byłem opowiadaniami o pogrzebach ludzi żyjących; rzecz tyczyła się zawsze osób, które stały się niemiłe dla swej rodziny. Byli to bądź gracze namiętni, bądź złodzieje niepoprawni, bądź palacze opium nieuleczalni, bądź nieszczęśliwi trędowaci. Oto kilka wypadków charakterystycznych.

W okolicy Czonglok, w której przebywałem od 1865 do 1872 r., mieszkała w pobliżu mnie pewna rodzina, której ojciec był nałogowym palaczem opium. Pochłonięty tą namiętnością, zaniedbał uprawy pól i wkrótce zbrakło mu środków do nabywania tej ilości narkotyku, do jakiej był przyzwyczajony; to doprowadziło go do sprzedania swych pól, a w następstwie do sprzedania żony i synów, aby tylko zadowolić swą namiętność. Gdy już nie było co sprzedać, puścił się na kradzieże. Doprowadzona do ostateczności rodzina postanowiła pozbyć się go. Pewnego pięknego poranku zastukano do jego mieszkania; było to kilku młodych ludzi z jego rodziny, którzy mu oświadczyli, iż rodzina postanowiła zakopać go żywcem. Nieszczęśliwy nie stawił najmniejszego oporu, udał się za młodymi ludźmi do sąsiedniej doliny, gdzie grób był już wykopany zawczasu, poprosił, aby mu pokryto twarz trawą i pozwolił się zasypać żywym.

Trędowaci dostarczają zapewne najwięcej ofiar tego okrutnego zwyczaju. W okolicy Sinon, gdzie mieszkałem od 1874 do 1884 r., doszło do mej wiadomości wiele wypadków tego rodzaju. Pewien członek rodziny, dotknięty przez tę straszną chorobę, skazany został przez swych najbliższych, obawiających się zarażenia, na tę śmierć okrutną; na pocieszenie kupiono mu bardzo piękną trumnę, do której położył się bez oporu; trumnę natychmiast przygwożdżono i pogrzebano z takiemi samemi ceremoniami, jak przy umarłych. Drugi trędowaty z tej samej okolicy nie dał się tak łatwo przekonać, stawił opór, ale go ogłuszono uderzeniem obucha w głowę i zanim przyszedł do przytomności, został zawinięty w matę i zakopany. W trzecim wypadku trzeba było uciec się do podstępu: rodzina porozumiała się z dwoma żebrakami, mieszkającymi w oddalonej lepiance, do której droga prowadziła wzdłuż przepaści. Żebracy zaproponowali skazanemu, aby podzielił z nimi ich nędzną lepiankę, pod pozorem, że jako podeszli wiekiem, niedługo już pożyją, a zatem nie mają powodu obawiać się zarazy. Trędowaty zawierzył słowom tych fałszywych przyjaciół i poszedł z nimi; w drodze został strącony w przepaść.

Najbardziej jednak wstrząsający wypadek zdarzył się w ostatnim roku mego pobytu w Chinach.

W pewnej osadzie żył trędowaty, wdowiec, około lat 60; miał on syna, który ze swej strony był ojcem licznego potomstwa. Od czasu ukazania się choroby, nieszczęśliwy ten zamieszkał sam odosobnioną chatę i nie miał żadnych stosunków ze swą rodziną. Ta ostatnia jednak nie czuła się zupełnie bezpieczną, obawiała się wciąż zarazy i żądała od chorego, aby się wyniósł zupełnie z tej miejscowości; ten jednak nie mógł się zdecydować, a tymczasem choroba się wzmagała i wygląd nieszczęśliwego stawał się coraz bardziej odrażający. „Wuju Asamie — mawiali do niego po wielekroć młodzi członkowie rodziny — jeżeli nie możesz zdecydować się na wyniesienie z tej miejscowości, czy nie lepiej byłoby zrobić z tobą koniec?“ Ale ta alternatywa nie wydawała się nieszczęśliwemu ponętną. Nawet kupno ubrania mandaryńskiego, w które chciano go przystroić na pogrzeb, nie zdołało go zachęcić. Zgodził się tylko na trzymanie pod łóżkiem dozy opium, przeznaczonej do wyzwolenia go z więzów cielesnych, które mu zresztą już dość dokuczały.

Pewnego dnia, było to we wrześniu 1884 r., syn przyniósł ojcu codzienną strawę, ale napróżno dobijal się do drzwi i wołał; chory nie ukazał się. Sądząc, że nieszczęśliwy spożył opium i umarł, syn postanowił jak najprędzej go pochować, aby muchy, obsiadające trupa, nie rozniosły zarazy; w tym celu udał się na wieś po ludzi. Gdy ludzie przyszli i wtargnęli do chaty, przekonano się, iż chory nie umarł, lecz był pogrążony w głębokim śnie. Wtedy syn chciał ludzi odesłać, ale ci nie chcieli odejść i żądali obiecanej zapłaty 20 franków, rodzina nie chciała znów płacić za darmo. Rada w radę postanowiono wytłomaczyć staremu ojcu, że korzystniej będzie, gdy się zgodzi na pochowanie teraz, aniżeli odkładać to do drugiego razu i tracić nadarmo pieniądze. Ponieważ zaś dobry syn nie zaniedba wszelkich ceremonij, wymaganych przez kult przodków, więc ojciec będzie miał na tamtym świecie żywot dalego przyjemniejszy, niż tutaj. Wobec tak przekonywających argumentów, chory dał swe przyzwolenie. Zaraz też pospieszono sprowadzić trumnę oraz wykupić suknię mandaryńską,

którą kupiono już dawniej, lecz która była zastawiona za niewielką sumę. Ze swej strony chory zalecał wnuczce, aby starannie doglądała dwóch wieprzów oraz gęsi, a wnukom, ażeby się przykładali do nauki. Dobra wnuczka zabiła najtłustszą kurę, a inni krewni przynieśli piękny kawał wieprzowiny, aby chory mógł się dobrze posilić na daleką pielgrzymkę.

Gdy ucztę skończono, cały orszak puścił się w drogę, poprzedzany przez pustą trumnę; chory szedł za nią piechotą; dalej szedł syn, niosąc na rękach piękną suknię mandaryńską. Po przybyciu do miejsca, gdzie grób był wykopany, nieszczęśliwy odbył staranną toaletę i zażywszy opium, ułożył się sam w trumnie, a syn zamknął ją i przygwoździł własnoręcznie. W pewnem oddaleniu stała starszyzna wioski, bacząc, aby wszystko odbyło się zgodnie z prawidłami pogrzebowemi.

Ten zwyczaj chiński grzebania żywcem datuje się już z czasów odległej starożytności. I tak np. w r. 221 przed Chr. pewien cesarz chiński kazał zakopać żywcem 460 uczonych, którzy opierali się rozkazowi zniszczenia ksiąg. W pięć lat potem w czasie wojny domowej podobną śmierć znalazło 200,000 ludzi, wziętych w niewolę.

Dziwnym może się wydawać taki zwyczaj tracenia, nienapotykany w żadnym innym kraju i w żadnej epoce historycznej. Ale jak nic ma wogóle skutku bez przyczyny, tak i tutaj musi istnieć jakaś racya, dla której w Chinach wynaleziono taki specyalny sposób zadawania śmierci. Zwyczaj ten jest bezwątpienia w związku z budową geologiczną Chin północnych. Kraj ten z wyjątkiem gór wysokich oraz równin aluwialnych jest pokryty żółtą gliną, lössem na grubość przechodzącą niekiedy 600 metrów. Löss pierwiastkowo miał powierzchnię równą, lecz z czasem wody płynące powyrzynały w nim cały labirynt wąwozów głębokich o ścianach pionowych; wypłukiwanie podziemne i zapadanie się gruntu wywołało powstanie tak zwanych „studni lössowych.“

Otóż w epoce egzekucyi owych 460 uczonych oraz 200,000 jeńców wojennych, państwo chińskie nie miało jeszcze tak wielkiego rozpostarcia, jak obecnie, ograniczało się ono wtedy przeważnie do Chin północnych, głównie obszaru Hoangho, tj. do obszaru lossowego, pokrajanego głębokimi wąwozami i podziurawionego „studniami.“ W takim kraju idea pozbycia się skazańców lub jakichbądź ludzi niedogodnych za pomocą strącenia w owe wąwozy i studnie nastręczyła się sama przez się; przytem studnie były w tym celu dogodniejsze jako niemające wyjścia. Studnie więc były to gotowe, naturalne groby, w które strącano żywych skazańców, przysypując ich być może ziemią; w takich tylko razach, gdy chodziło o uśmiercenie setek jeńców wojennych, studnie były niewystarczające, trzeba było ich strącać do wąwozów.

Z czasem ten rodzaj zadawania śmierci rozpowszechnił się i na te okolice Chin, które nie posiadają lössu: prawdopodobnie przesąd religijny wpłynął na rozpowszechnienie tego zwyczaju. Chińczycy uważają życie przyszłe jako dalszy ciąg życia na ziemi w tych samych warunkach: mandaryn pozostaje mandarynem, poddany poddanym; nawet ułomności cielesne pozostają w życiu zagrobowem. Według wierzeń ludowych człowiek ścięty nosi na tamtym świecie głowę pod pachą lub też zawieszoną u spodni. Z tego powodu kodeks karny chiński rozróżnia wiele stopni kary śmierci: kara jest tem większa, im większe obrażenia ponosi ciało przy egzekucyi. Powieszenie więc jest karą lekką, ścięcie — daleko cięższą; najstraszniejszą zaś karą jest „linczi,“ tj. pokrajanie na tysiączne kawałki, co przypomina łamanie kołem, praktykowane na zachodzie jeszcze przy końcu ubiegłego stulecia. Śmierć więc przez zakopanie żywcem, przy czem ciało nie doznaje żadnego kalectwa, musi być w oczach chińczyków, wbrew naszym pojęciom, karą najlżejszą.

W. N.

Dr. FRANCISZEK RACZKI.

(Wspomnienie pozgonne).

Chorwaci stracili w zmarłym d. 13 lutego 1894 dr. Franciszku Raczkim nietylko gorliwego sprawy swojej rzecznika, ale męża, dla którego praca i nauka najważniejszem była w życiu zadaniem. Syn kupca, urodził się w Fuzinie w żupie rjeckiej (Fiume) d. 25 listopada 1829. Nauki elementarne pobierał w miejscowości rodzinnej. Następnie udał się do Rjeki (Fiume), gdzie uczęszczał do pierwszych dwu klas gimnazyalnych. Z niewiadomych nam powodów zmuszony był dokończyć nauk gimnazyalnych w Warazdynie. Tutaj układał wierszyki i piosenki. Zamierzając wstąpić do stanu duchownego, kształcił się w seminaryum biskupiem w Sienie. Od chwili tej zaczął pisywać do wydawnictw: „Katolicki List“ i „Neven.“ Do pierwszego nadsyłał artykuły teologiczne, do drugiego zaś — humorystyczne. W 1849 widzimy go w seminaryum wiedeńskiem. Zawiązawszy węzły przyjaźni z wieloma słowianami, przebywającemi w seminaryum, z zapałem poświęcił się studyom języków słowiańskich. Skończywszy ten zakład, powrócił do Sieny, gdzie w r. 1852 otrzymał święcenie kapłańskie. Biskup tamtejszy, oceniając rzadkie zdolności, pilność i niepospolitą naukę pełnego nadziei młodziana, powierzył mu wykład matematyki i fizyki w miejscowem seminaryum. Żądny atoli wiedzy Franciszek nie zadowolił się tem nauczycielstwem. Przybywszy do Wiednia, gorliwie zajął się wyższemi studyami teologicznemi. Zaszczycony godnością doktora teologii, znowu powrócił do Sieny. Tutaj wykładał historyę kościoła i prawa kanonicznego, a w chwilach wolnych zajmował się slawistyką, zbierając dyplomaty głagoliczne, które drukiem ogłosił Kukuljević Sakcziński. Z porady biskupa Ożegovića udał się do Rzymu, gdzie został kanonikiem kapituły iliryjskiej. Poznał się tam ze słynnym biskupem djakovarskim Strossmayerem. Obu łączyła nić serdecznej sympatyi. Ożywieni jednym duchem, chcieli oni widzieć w kościele urzeczywistnienie swych idei. Marzyli też o kościele narodowym, który powinien odrodzić słowian w duchu cywilizacyi zachodu. W Rzymie poczuł R. chęć do badań archeologiczno-historycznych. Codzień prawie widywano go w bibliotece watykańskiej, gdzie przeglądał stosy ksiąg i rękopisów pergaminowych. W r. 1857 ogłosił *Vjek i djelovanje Cirilla i Methoda* (Zagrzeb). Dzieło to pomnikowe i pełne erudycyi. Krytyka uznała je za najdoskonalsze i najzupełniejsze ze wszystkich prac o apostołach słowiańskich. Kreśli on stan polityczny i społeczny Chorwacyi przed ich przybyciem. W dziele p. t. *Pismo slovjensko* (Zagrzeb, 1861) krytycznie rozbiera głagolicę i kirylicę, zestawia ich wartość graficzną, a przechylając się na stronę Szafarzyka, czyni Cyrylla wynalazcą głagolicy. Oponował temu August Schleicher, utrzymując, że głagolica jest niezręczną przeróbką kirylicy.

Na życzenie Szafarzyka, Raczki opisał Ewangelię Asemaniego, pomnik głagoliczny, wydany do spółki z Jagićem (w r. 1865). W „Arkiwie“ (ks. 7) ogłosił 64 dyplomaty z XIII--XIV wieku, dotyczące dziejów Chorwacyi. Broniąc na sejmie praw swego narodu, wobec ucisku madjarów, napisał *Odlomci iz državnaga prava hèrratskoga* (Wiedeń, 1861). W sposób pragmatyczny kreśli tu zarysy ustawodawstwa chorwackiego, dworu królewskiego i stosunków społecznych. Na pamiątkę tysiącoletniego jubileuszu Cyryla i Metodego (1863) wydał drukiem *Kniževan rād sw. Cyrila i Metoda.* W tymże roku powierzono mu nadzór szkół w Chorwacyi i Slawonii. Był on czynnym inicyatorem wszelkiego ruchu naukowego. Jemu to początek zawdzięcza „Književnik,“ gdzie ogłosił *Ocjena starijich izvora za hrvatsku i serbsku povjest srednjega vjeka* (1865), gdzie rozbiera źródła do dziejów Słowiańszczyzny południowej. Liczne prace jego znajdują się w rocznikach akademii zagrzebskiej p. t. „Rad jugoslav. akademije“ itp. Niepodobna nam w tak treściwym artykule streścić rozległej działalności naukowej męża, który był dla słowian południowych Atlasem, dźwigającym na barkach swoich cały gmach historyi, prawa i archeologii. Zasługi jego potomni dopiero ocenią, a pamięć o nim utrwali się niezatartemi głoskami w sercach wszystkich prawych i zacnych słowian.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Czesław Jankowski, *Po Europie*, kartki z podróży.

Drugą seryę swych kartek z podróży wydał obecnie p. Cz. Jankowski. Należy przyznać, iż pisane są żywo, barwnie, momenty charakterystyczne podpatrzone są trafnie i oddane plastycznie. Jako godło wrażeniom tym przyświeca znane wyrażenie T. Gautiera: „En voyage il n'y a que deux manières: l'épreuve instantanée ou la longue étude...“ Temperament artystyczny, natura fejletonisty skłoniły p. J. naturalnie do pierwszej metody. Trudno sobie wyobrazić tego autora, studyującego poważnie i systematycznie zabytki sztuki lub stosunki społeczne. Ograniczył się też on na fotograficznych zdjęciach momentalnych pierwszych wrażeń. Naturę posiada wrażliwą, chwyta szybko wszelkie przebłyski świata zwiedzanego, w całej ich migotliwości, z zachowaniem barw i konturów. Czytelnik może być tylko wdzięczny p. J. za brak taniej erudycyi. Nie „odświeża on w pamięci naszej“ historyi i geografii zwiedzanych prowincyj: nie robi z dwóch książek trzeciej. Jakie jest właściwie zadanie „podróży“ i na czem polega ich urok? Opisy tego rodzaju należą już do sfery artyzmu. Tylko artysta, czujący głęboko, doświadczający prawdziwego głodu wrażeń, może nas harmonijnie zestroić ze swemi przygodami. Wówczas w duszy naszej drga i dźwięczy cały hufiec pragnień niezaspokojonych, myśl ulata od powszedniej strugi wydarzeń, wyobraźnia rozkoszuje się. Podróżnik powinien być malarzem słowa, rzeźbić swe wrażenia w kształtach prawie namacalnych, dbać o należyte oświetlenie każdego faktu, o wrażenie ogólne. Im nerwy jego artystyczne są bardziej uwrażliwione, tem większym jest on ciekawcem, tem więcej możemy polegać na prawdzie jego uczuć i spostrzeżeń. Kobieta nowożytna, podług któregoś powieściopisarza francuskiego — to „la perpétuité du désir.“ Jeszcze bardziej stosuje się to do współczesnego pokolenia „inteligencyi europejskiej.“ Podróżnik właśnie powinien rozszerzać i pogłębiać ten nowy świat pragnień.

P. Jankowski zgóry zastrzegł się przeciwko wszelkim wysokim zadaniom i ce-

lom. Wyraźnie powiedział, iż opisywać na nowo Włochy, Francyę południową, Pireneje itd., to znaczy powtarzać się. Czy to prawda? Czy mamy temu wierzyć? Każda wielka indywidualność to właściwie osłonka całego splotu uczuć, myśli, popędów estetycznych; przy zetknięciu się z każdym nowym faktem powstaje w niej cały proces postrzeżeń i wniosków. Poczucie i pragnienie swobody duchowej jest oznaką każdej wyższej jednostki. Pragnienie stworzenia swoistego, odrębnego świata wrażeniowego i uczuciowego stanowi wybitne znamię natur artystycznych.

Powyższe wyznanie p. Jankowskiego odrazu daje miarę talentu artystycznego. Tak jest, twórczych popędów on nie posiada. Kartki jego podróżnicze to błyszczący rój migotliwych wrażeń, wyobraźnia jasna i malownicza potrafiła nadać im formę ozdobną; czasami bywa on satyryczny, to znów nieco elegijny; nic dziwnego, wszak satyra to podobno siostra elegii. Uwaga jego silnie czepia się szczegółów, lecz nie grzęźnie i nie zasklepia się w nich niewolniczo. W obrane przedmioty autor nie wpatruje się namiętnie, z całą gorączką artysty psychologa, lecz bynajmniej nie odznacza się spokojem płaskim i bezlotnym filistra. Styl ma żywy, malowniczy, zwięzły, pozbawiony wszelkiej frazeologii.

Przyjrzyjmy się teraz jego obrazkom.

Pierwsze cztery szkice wyrwane są z bieżącego życia Niemiec. Najpierw jesteśmy w Berlinie, towarzyszymy uroczystemu przyjazdowi Bismarka i Moltkego, opuszczającym dworzec cesarza Fryderyka. Następnie autor wprowadza nas na przedstawienie „Wolnej sceny berlińskiej.“ Dawano „Thérèse Raquin“ E. Zoli. Dekoracye znakomite w najdrobniejszych szczegółach, charakter mieszczańskiego domu paryskiego utrzymany świetnie ze wszystkiemi subtelnemi różnicami między mieszczaństwem berlińskiem lub niemieckiem a francuskiem. Po widowisku rozległy się wręcz przeciwne wykrzyki: „Pfui, wie grösslich!“ „Famos!“

Następnie zbacza autor do Meiningen, kreśli wspomnienie tamecznej drużyny aktorskiej, rysuje sylwetkę znanego poety niemieckiego, *hofratha*, R. Baumbacha. Dalej szkicuje „nowy teatr worwacki,“ zbudowany na oryginalnych zasadach; zwiedza źródło naturalnej wody salcerskiej — Niederselters. Następnie pomyka do Wiednia, gdzie się znajduje na wystawieniu „Przyjaciela Fritza“ Mascagniego, z uznaniem podkreślając znawstwo muzykalne publiczności wiedeńskiej. Potem przenosi się do Włoch. Ślicznie opisany jest grobowiec św. Antoniego padewskiego, obrazowo — droga z Austryi do Włoch, wzdłuż Mury, przez Styryę, Karyntyę. Pierwsze wrażenia włoskie bynajmniej nie dźwięczały poetycznem tętnem. „Krajobraz szary, monotonny, wysrebrzony, co prawda, księżycem, ale to jakby ktoś wysrebrzył najzwyklejszą dwuzłotową popielniczkę. Gdzież ta cytryna, co dojrzewać miała, gdzie pomarańcz las, gdzież las mirtowy, gdzież laury cicho stojące, gdzież marmurowe głazy, zawalające drogę przechodnia?. “

Barwnie, z zacięciem malarskiem opisał p. J. rozgłośną Rivierę di Levante— pas wybrzeża między Apeninami i morzem Liguryjskiem, w przeciwstawieniu do Riviera di Ponente, ciągnącej się wzdłuż zatoki genueńskiej u podnóża Alp. Z Włoch turysta wkroczył do Prowancyi. Krajobraz zmienił się niemal całkowicie. „Znikły powoli egzotyczne klomby i ogrody, a rozsiały się gęsto, jakby las jaki, drzewa oliwne. Grunt gliniasty, czerwony, jaskrawemi plamami rozkładający się na stokach wzgórz nad morzem ciemno-sinem. Szare drzewa oliwne, czerwona ziemia, ciemnoniebieskie morze — całość składa się na gamę jakichś tępych, surowych barw, silny stanowiącą kontrast z jaskrawościami, błyskotliwościami Riviery.“ Marsylia, pełna południowego, oślepiającego słońca, nie sprawiła na autorze korzystnego wrażenia.

Na wyróżnienie zasługuje szkic, obrazujący rozgłośną miejscowość: Lourdes. Mimowolną bohaterką całej tej legendy jest Bernadette Soubirous, niedawno zmarła jako zakonnica, pochodząca z bardzo biednej rodziny. Będąc dzieckiem, była chorowita, nerwowa, mało rozwinięta, umiała jedynie tylko pacierze szkaplerzne i to wyłącznie w dostępnem dla niej ludowem narzeczu swojem. Pewnego razu, gdy z kilkoma rówieśnicami zbierała gałęzie w zadrzewionej miejscowości, zjawia się jej oczom tylko widzialne objawienie. Cała w jasności stoi przed nią postać, dla której nazwy przelękniona pastuszka znaleźć nie może. Biała, powłóczysta szata spływa aż do stopy tej niebiańsko - pięknej pani, przepaska niebieska dokoła jej bioder owinięta, od głowy spada na ramiona zasłona biała, przejrzysta. Widzenie trwało mniej więcej kwadrans czasu. Niebiańska „Pani“ zaleciła jej, aby przez dni piętnaście z kolei na to miejsce przychodziła. Dnia jednego, podczas zachwytu przed grotą, Bernadette — jak utrzymuje, idąc za rozkazem Pani swojej — zbliża się nagle do ściany w głębi groty, zaczyna grzebać ręką u jej dołu i oto z pod poruszonego gruntu wydobywa się na zewnątrz woda. W r. 1862 urzędownie uznano Lourdes jako miejscowość cudotwórczą. Zobaczmy, co uczyniła teraz przedsiębiorczość ludzka z tym przybytkiem duszyczek wierzących. Ozdobiła ją przedewszystkiem licznymi hotelami, sklepami, wogóle wszelkiemi udogodnieniami dla turystów i nabożnych pątników. Wszędzie sprzedają „Pastylki na wodzie z Lourdes.“ Obok głównych drzwi kościoła paraduje olbrzymi, niebieski anons, a na nim ogromnemi, białemi literami dwa słowa tylko: *Chocolat Menier*. Dalej widnieje panorama, wyobrażająca całą wielką scenę widzenia Bernadetty. Bardzo dużo w Lourdes nie podobało się autorowi. „To nie przybytek dla modlitw, wykrzykuje zgorszony — dla uniesień, dla nabożeństw, to poprostu stworzono tu przez źle pojętą gorliwość jakąś promenadę jakiejś modnej stacyi kuracyjnej lub klimatycznej.“

Prześlicznie jest opisane nocne nabożeństwo w kościele Kartuzów. Tu wrażliwość artystyczna zdwaja siłę wzroku autora. Znać także, że przeczytał sporo opisów podróży i że z miejscami wycieczek swych obeznany był teoretycznie.

W podróży swej nie błąkał się p. J. wydeptanymi gościńcami i starał się o wrażenia nieznane. Książkę swoją napisał dla inteligencyi mieszczańskiej, bardziej tylko wyrobionej duchowo i uwrażliwionej artystycznie, niż szara masa filisterska. „Inteligencya“ taka lubować się może tylko szeregiem wrażeń, ujętych w ozdobne ramki pogawędki fejletonowej.

Bron. Lud.

TEATR.

St. Graybner. *Irena*, sztuka w 4-ch aktach.

Utrzymać nerwy widzów w ciągłem naprężeniu, wstrząsnąć niemi tak, iż długi czas drgają i wibrują echem odebranych wrażeń — to jest w mocy albo wielkiego talentu, albo też zręczności i sprytu przy obmyśleniu wątku scenicznego, w który, niby w niewidzialne sidła wciąga się uwagę słuchaczy. Autor *Ireny*, prócz wielkiego talentu, posiada w całem znaczeniu tego słowa nerw sceniczny. Umie z odtwarzanych już tysiąckrotnie powikłań dramatycznych wywoływać efekty, całkiem dla widza nieoczekiwane. W ciągu całej sztuki tak niezliczona moc coraz nowych z błyskawiczną szybkością po sobie następujących wrażeń naciera na nas, iż zapieramy oddech, śledząc je, poddając się im z konieczności, z musu, nadciągają bowiem, jak ołowiana, łoskotem piorunów brzemienna chmura, której groza musi zmiażdżyć parę istnień ludzkich, aby na mały światek, nad którym zawisła, po odejściu burzy, rzucić jeszcze promyk słońca. Nie widzimy go wprawdzie na scenie, sztuka p. G. kończy się bowiem ponuro, śmiercią dwóch istot, paraliżujących byt cichej, zgodnej rodziny, która może być nadal szczęśliwą. Uwiedziony przez Irenę Kazimierz Ratyński wróci na łono świętej, cnotliwej swej żony, Jadwigi, lilii białej, nad którą tylko chwilowo, pod wpływem chorobliwego opętania mógł przenieść różę o barwach płomiennych, kapryśną, niesforną, biedną, chorą ale piękną Irenę. Lilia biała wybaczy mu zdradę: wybaczyła mu ją zresztą odrazu pod wpływem zasad etyki chrześciańskiej i własnej gołębiej swej duszy. Ocknąwszy się z namiętności swej jak ze snu męczącego, który zmora błędnych majaków rzuciła mu na powieki, stanie się zwykłym filistrem, którego szlachetność podziwiają wszyscy, pielęgnowany bowiem dotąd przez westalkę domowego swego ogniska, nie miał sposobności zboczyć z drogi cnoty, zboczywszy zaś, nie bardzo nawet doznaje gryzących wyrzutów sumienia. Charakter to pozbawiony wątku dramatycznego, życiowo jednak najzupełniej prawdziwy. Tacy jak on ludzie, przeszedłszy wypadkiem burzę w życiu, zasklepiają się później, jak ślimaki, w skorupie bytu powszedniego, a nikt nie poznałby po nich, że i oni coś przeżyli. Córeczka Ireny, Helunia, zyska najwięcej, straciwszy bowiem matkę histeryczkę, która raz odpychała ją od siebie gniewnie, aby w chwilę potem okrywać pocałunkami rączki i stopy skrzywdzonego dziecka, niebędącego nigdy celem jej myśli; Helunia zyska najwięcej: druga jej opiekunka bowiem, dobra, kochająca, anielska Jadwiga przygarnie ją do siebie: będzie jej dzieckiem ostatniem i, jako sierota, najbardziej pieszczonem.

Autor w sztuce swojej wprowadza nas na grunt, mocno już podminowany niesnaskami między mężem, karczemnym awanturnikiem, pijakiem, karciarzem i żoną histeryczką. Taka dobrana para nie mogła wytrwać w zgodzie, nawet pozornej; Karol i Irena kłócą się tedy brutalnie, nawet i przy ludziach, a tak niesforni są oboje, że słuchacz pyta ciągle, kto z nich bardziej winien i kto zawinił pierwszy: czy nałóg pijacki i brutalność Karola rozbudziły histeryę Ireny, czy też kaprysy, spazmy, nagłe dzikie napady wesołości nie w porę wpłynęły na stopniowy rozwój złych skłonności Karola? Odpowiedzi na to nie mamy. Autor zapoznaje nas z domem Rodeckich, już w chwili, gdy naprężenie stosunkowo doszło do zenitu. Pod wpływem przyjaciółki rajfurki, p. Lucyny, której, o dziwo! nikt nie demaskuje, pomimo iż prawie wszyscy ją znają do gruntu, Irena ucieka od męża. Lucyna przyjmuje ją do siebie i wzamian za otrzymywane od niej pieniądze, ułatwia schadzki z Kazimierzem, mężem siostry Karola. Miłość dwojga kochanków, rozwinąwszy się szybko, dała autorowi pole do przeprowadzenia scen tak drastycznych, iż nie ustępują w niczem najbardziej posuniętym w tym kierunku scenom dramatów francuskich.

W chwili najgorętszych uniesień Ireny, przybywa mąż jej ze wsi z dziadziem i Helunią. Karol pragnie przebłagać żonę, którą kocha, za którą tęskni, Irena odpycha go wszakże, a gdy on usiłuje uprowadzić ją z sobą brutalnie, rzuca się w objęcia Kazimierza, ujawniając miłość swoją dla niego. Rodecki wyzywa na pojedynek Rat., który go zabija, a sam zostaje aresztowa-

ny. Jadwiga z ust Ireny dowiaduje się o zdradzie Kazimierza, chrześciańska jej pokora nie pozwala wszakże na żal i nienawiść: po śmierci Karola staje się opiekunką żony jego i dziecka, usiłuje nawrócić bezbożną Irenę, dla której jednak już nie ma ratunku: modlić się nie umie, flirtować, jak radzi przyjaciółka, nadal nie chce, jest bowiem, jak twierdzi, człowiekiem; jedyne dla niej zbawienie — samobójstwo; rzuca się zatem z 3-go piętra, łącząc przed tem Kazimierza i Jadwigę.

Szybkie powikłanie wypadków ostatniego aktu, wejście Kazimierza, odmowa ucieczki z Ireną, rzucenie się w objęcia legalnej żony całkowicie usprawiedliwia zakończenie sztuki. Ma ona pewne niekonsekwencye swoje; postać młodego doktora, apostoła praw moralności, manekina, rezonującego ciągle, a nie działającego zgoła, pomimo iż ma pole po temu, najzupełniej tu niepotrzebna; autor zostawił ją prawdopodobnie dla kilku zręcznych dyalogów, których żal mu było wykreślić. Całość jednak tchnie taką pełnią życia, ponurego wprawdzie, czarnego, jak otchłań piekielna, ale niezmiernie prawdziwego, iż należy wybaczyć różne drobne usterki.

Czego autor chciał dowieść? Pytają sprawozdawcy i publiczność: czy że kobieta w zasadach religii wychowana, nigdy nie puści się na takie bezdroża, jak ateuszka, której nikt nigdy modlić się nie uczył? Trudno posądzać p. G. o podobną intencyę. Wiadomo, czem staje się modlitwa histeryczek: ekstazą, dla której konieczna samotność i skupienie. Irena pobożna dłużej bezwątpienia walczyłaby z sobą, przed ostatecznym upadkiem, więcej siły znajdowałaby sama w sobie do usuwania złych pokus i znoszenia awantur męża; upadłaby jednak w końcu, gdyż tak stać się musiało. Po upadku dopiero religia zdolną by była ją podnieść; w celi samotnej, pod wpływem pobożnej Jadwigi, Irena stać się mogła ascetką, miewać jasnowidzenia; takie zakończenie jednak, dobre w powieści, nie odpowiadałoby dramatowi, gdzie szalejąca przez trzy akty burza musiała rozsypać się gromem ostatnim, aby widz miał wrażenie twarde, posępne, dostrojone do tonu wszystkich poprzednich wrażeń.

Ogół sprawozdawców zapowiada upadek sztuki p. G. Jeżeli wyjdziemy z założenia, że publiczność nasza woli śmiać się w teatrze, aniżeli chmurzyć czoło wobec najbardziej ponurych i ciemnych kart życia, o jakiem wie, zwłaszcza, że rozegrało się w rzeczywistości, to wyrocznie naszych Zoilów mogą być prawdziwe. Wszakże sztuki Sudermana i Ibsena, do których nastrojem swoim zbliża się Irena, miały u nas powodzenie: czyżby sprzyjała temu etykieta zagraniczna?

C. W.

ODCZYTY.

Antoni Pilecki. *Kobiety-poetki.*

Prelegent dał wielce wyraziste tło życia, na którem rozsnuł działalność naszych poetek, naszkicował dzieje wyłamywania się ducha kobiety, wywalczania prawa obywatelstwa w dziedzinie moralno-społecznej. To też nad tą głównie stroną jego czterech wykładów zatrzymamy się i nie będziemy z nim badali, w jakim stopniu i jakiej wagi jest groza i siła dramatyczności psychicznej w *Pogance* Gabryeli, czy jej postacie są posągowe, w jakim stosunku jest prawda psychologiczna do marzycielstwa itd. „Gdy kapłanka naszego ogniska rodzinnego, po długich latach niemowlęctwa, poczuła w sobie rodzące się siły duchowe, gdy wskutek tego zechciała zająć samodzielniejsze stanowisko w życiu i społeczeństwie, dłoń jej wyciągnęła się nie po kęs chleba dla ciała, lecz po strawę dla umysłu i serca.“ W tej właśnie sferze duchowej rozegrała się walka o równouprawnienie, ale bez żadnych sztandarów i programów, bez haseł szumnych i pustych. Kobieta zahukana, przygnieciona zbyt ciężkim płaszczem powagi i żelaznej opieki mężczyzny-sybaryty, nie mogła się zerwać z owego łańcucha, na którym do komina, do zapiecka swego była przykuta. To też głos kobiet w sprawie nadania im więcej praw ludzkich przy pierwszych brzaskach rozświtu umysłowego, nie wypłynął z ich piersi, lecz pierwszymi ich rycerzami byli: Andrzej Glaber z Kobylina, Łukasz Górnicki i inni. Pierwsza piosnka białogłowy nad komin i strzechę gniazdka domowego wzbiła się nieśmiało w w. XVI (Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały). Później, po długim lat szeregu (w początku XVIII w.) jaśniej się zarysowała o wiele silniejsza postać Elżbiety Drużbackiej. Odważyła się już ona poddać satyrze dwa ścierające się z sobą światy: patryarchalny i — dworujący na komnatach wielkopańskich. Przez ogólne mroki doby ówczesnej przedarły się do jej umysłu promienie wiedzy i niewątpliwie spłynęły do głów innych niewiast. Dalej przesuwają się luzem wiotkie bojownice. Konstancya z Ryków Benisławska, zamknięta w kole refleksyi metafizyczno-teologicznej, niewiele chyba wywalczyła praw dla swych towarzyszek. Większy już ruch stworzyły arystokratki—autorki powieści sentymentalnych: hr. Czartoryska, ks. Wirtemberska, Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska, tudzież Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Właściwie zaś tylko Hoffmanowa i Jaraczewska więcej dotknęły życia w swej działalności autorskiej: pierwsza niezmordowaną była w pracy około stworzenia i utrwalenia zasad wychowawczych, druga starała się wywalczyć większą samodzielność i naukę gruntowniejszą dla niewiast.

Wyraźniej i silniej dążenia kobiet zaznaczyły się pod wpływem romantyzmu francuskiego, który dał nieoceniony podkład: entuzyazm i zapał do pracy. W drugiej ćwierci bieżącego stulecia kobieta znalazła pustkę duchową w szeregach swych silnych opiekunów i postanowiła stworzyć świat osobny. Wtedy to właśnie powstało ognisko życia umysłowego, skupione około „Pierwiosnka.“ Paulina Krakowowa, Eleonora Ziemęcka, Narcyza Żmichowska (Gabryela), Ludwika J. — to była silniejsza awangarda owego ruchu; za nią słabym krokiem pod skrzydłami *Przeglądu naukowego* dążyła garstka, którą popychała Gabryela z pomocą Kazimiery Ziemęckiej, Emilii Gosselin, Waleryi Lewickiej, Kryspiny Stelmanowskiej, Anny Skimborowiczowej. Entuzyazki i entuzyaści podali sobie dłoń, chociaż była to mieszanina różnych poglądów na życie, różnych charakterów i temperamentów.

Zobaczmy, jak w charakterystyce prelegenta przedstawia się obraz warunków, na których się rozwinęła walka o prawa umysłowe, moralne i społeczne dla kobiety. Już Jaraczewska przemawiała o większą samodzielność dla płci swojej, o naukę gruntowniejszą, która byłaby nie ozdobą, nie świecidełkiem ducha, ale żywotną jego treścią. Powoli głos niewieści zażądał w jaśniejszych słowach prawa do wszechstronnego, samodzielnego rozwoju w nauce i sztuce. „Zwolna z początku nieśmiało, a z czasem coraz śmielej wznosiła niewiasta nad czoło swe znamię godności ducha ludzkiego, aż wreszcie ujrzały to znamię młodsze jej siostry, aż ujrzał je i ród męzki. Z tej ostatniej strony odezwał się krzyk oburzenia i zawiści, czego nie mogła zagłuszyć obrona szczupłej garstki tych umysłów męzkich, od których pomoc nadchodziła. Świat, nad którym duch mężczyzny górował, świat, który widział w kobiecie albo anioła ogniska domowego, albo szatana upadku, który na autorstwo kobiet spoglądał zaledwie okiem łagodnej tolerancyi, jako na zabawkę bezczynnego życia, powitał entuzyastki niechęcią i szyderstwem. Było to jeszcze naturalniejszem z tego względu, że niektóre drobne ich wybryki uważał za oznaki śmiesznej donkiszoteryi, lub nawet czegoś gorszego; że często raziła go przesada entuzyazmu; że wreszcie mieszał „salonowe lwice“ i „emancypantki“ ze szczeremi entuzyastkami, że widział przed sobą rozpasanie obyczajów w życiu wielu emancypantek Francyi i obawiał się, ażeby dążenie do samoistności nie zaraziło tą samą niezdrową atmosferą naszej inteligencyi niewieściej.“

W dzisiejszej chwili prelegent całkiem słusznie postawił Konopnicką na tle życia. Działalność zaś niewiast na tem polu, a raczej rezultaty ich pracy, skreślił w następnych słowach: „Kobiety poetki tak u nas, jak i gdzieindziej, mają tę niespożytą zasługę, że wywalczyły dla sióstr swych prawo wolnego wstępu do krainy wiedzy. One żywym głosem ducha i przykładem owocnego życia swego powiedziały światu: Kobieta ma prawo i siłę dostateczną, aby myślała, czuła i tworzyła na równi z mężczyzną. A do czego w tej pracy ducha dojdzie, to już przyszłość okaże.“

Na tem tle dziwnie się zarysowywa postać Deotymy, której prelegent dużo miejsca poświęcił. Robi ona takie wrażenie, jakby na obrazie nawskróś realistycznym stanowiła figurkę świętego, unoszącego się w powietrzu. Bo czemże jest ona w tym ruchu i jaki wpływ wywarła na swe towarzyszki? To stanowisko, jakie dla niej w krytyce przyznano, zawdzięcza chyba z dawnych lat aureoli „natchnionej improwizatorki.“ Zimna, sztywna, wychowana w cieplarni salonowej, nie miała sposobności stykać się bezpośrednio z życiem, ani jego potrzeb odczuwać i odtwarzać. Umie istotnie rzeźbić i zadziwiać kunsztowną robotą rymotwórczą; ale jest ona — jak słusznie powiedział p. P. — ujęta w ramki dogmatu, ktory dla niej stanowi uznane zasady życia.

Z punktu, na którym odrazu stanął prelegent, możnaby mu uczynić zarzut, że wziął nie całkowite tło, lecz tylko jego część. Jeżeli chodziło o rolę kobiety-autorki w życiu, należało ją rozpatrywać nietylko jako poetkę, lecz i powieściopisarkę. Sam p. P. czuł tego potrzebę, skoro tu i owdzie wybiegł po za rymowaną twórczość kobiet i zaznaczył ich dążenia w prozie (Hoffmanowa i in.). Tem bardziej należało tą stroną obraz uzupełnić, że poetki są także autorkami prozy; że jedna z nich, którą prelegent zupełnie pominął, Hajota, powinna była zająć w odczytach wybitniejsze miejsce, niż Deotyma (bez ujmy dla talentu „improwizatorki“). Jej bowiem poezya, chociaż głównie powstała na tle erotycznem, ściślej łączy się z życiem, ujawnia temperament, a proza rozsnuwa zagadnienia bardzo poważne i żywotne. Weźmy tylko jedną powieść „Błędne koło“ (Warszawa, 1887), w której na podścielisku nieubłaganych warunków życiowych, ścierających energię i zdolności, widzimy wyraziste rysy psychologiczne natury kobiecej i męzkiej, widzimy takiem, jakiem jest przeważnie w rzeczywistości to ognisko rodzinne, z jego kapłanką-niewiastą i owe pierwiastki, na których jest ono zbudowane.

Zn.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Zarząd czeskiego Towarzystwa sztuk pięknych w Pradze urządza 55-tą doroczną wystawę od 15 kwietnia do 15 czerwca r. b. Będą kupowane dzieła do rozlosowania tudzież do galeryi. Wynik przeszłorocznej wystawy był bardzo zadawalający; powinien więc

zachęcić interesowanych: sprzedano 148 dzieł za sumę około 364,000 złr.

— W Paryżu otwarto wystawę malarstwa i rzeźby, z dzieł tworzonych przez kobiety.

— Księgarnia Buchnera w Bambergu rozpoczęła wydawnictwo kwartalnika *Euphorion Zeitschrift für Literaturgeschichte.*

— Wyszedł ostatni XIX tom wielkiego dzieła Réclusa p. t. *Nouvelle géographie universelle.*

— Rada municypalna Wiednia ogłosiła konkurs na dramat i komedyę ludową. Trzy nagrody po 2,000 złr.

— Salon artystyczny na Nowym-Świecie w Warszawie urządził wystawę obrazów religijnych Andriolego.

— Otwarto wystawę sztuk pięknych przy Akademii w Petersburgu 12 marca (n. st.).

— Pomnik Chopina w Żelazowej Woli ma stanąć *już* z początkiem czerwca r. b. Podczas gdy u nas sprawa ta wlecze się niesłychanie długo, a środki materyalne z wysiłkiem trzeba wyciskać — komitet, zbierający składki na pomnik niedawno zmarłego Gounoda, zgromadził dotąd 10,267,225 franków.

— Własnoręczne listy Karola XII ukażą się wkrótce w osobnem dziele, wydanem przez d-ra Ernesta Carlsona, profesora uniwersytetu w Gothenburgu. Książka ta ukaże się w Sztokholmie i jednocześnie po niemiecku w Berlinie.

— M. H. Vamberg, znakomity pisarz węgierski, w osobnej pracy scharakteryzował ruch postępowy na Wschodzie.

— Atlas anatomiczny, opracowany przez prof. Zygmunta Laskowskiego, dziekana wydziału lekarskiego w Genewie, ma wielkie znaczenie nie tylko dla lekarzy i przyrodników tudzież nauczycieli szkół, lecz także dla artystów-malarzy i rzeźbiarzy. Dla tych ostatnich jest osobny oddział anatomii plastycznej, opracowany na podstawie pomiarów antropometrycznych. Całość składa się z 16-tu wielkich tablic, wykonanych chromolitograficznie na 112 kamieniach, z tekstem łacińskim i francuskim.

— Akademia królewska w Madrycie, która ogłasza pełne wydanie zbiorowe dzieł Lopeza de Vega, otrzymała wiadomość, iż rękopis nieznanego dotychczas dramatu tego autora p. t. „Królowa Donna Marya“, znajduje się w książęcej bibliotece prywatnej Metternichów w Wiedniu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRZESTĘPCY ZAWODOWI W PARYŻU.

Ludwik Puibaraud, dawny naczelnik biura prefekta policyi, obecnie inspektor oddziału administracyjnego w ministeryum spraw wewnętrznych, poświęcił przestępcom zawodowym ciekawą książkę *). Nie podał on statystyki przestępstw, objawia też nieufność do twierdzeń antropologicznych. Lecz obeznany bardzo dobrze z ponuremi stronami życia paryskiego, kreśli żywy ich obraz. Cenną stronę książki stanowią charakterystyczne ilustracye Grasa i pięćdziesiąt przeszło fotografij wybitniejszych przdstępców.

Dziewiętnaście wyliczonych przez się odmian dzieli autor między proletaryat, warstwę średnią i bogatą. Niektóre są przekształceniami jednego typu, w rozmaitych klasach przybierają rozmaite kształty. Większe wyspecyalizowanie odznacza burżuazyę.

Zasadniczym typem przestępcy zawodowego wśród ludu jest tak zwany „podtrzymywacz“ — *souteneur.* Biedną rodzinę coraz silniej ściskają kleszcze nędzy, wszczynają się spory, bójki. W kącie patrzy dziecko, pierwszym razem wystraszone, potem ciekawe, w końcu obojętne. Gdy doszło do trzeciej fazy, wychowanie skończone. Bo bójki widocznie często powtarzały się i częste po nich były przeprosiny oblewane gorzałką. Syna dopuszczano do czarki, pozwalano mu później brać stronę w kłótni. Nareszcie gdy dorósł czternastu lat, siostra i inne dziewczyny znajome, oddające się prostytucyi z nędzy, proszą go, aby uważał, czy nie idzie stójkowy, aby donosił o jego zbliżeniu się. Za dobre usługi płacą franka lub dwa na wieczór.

Mięśnie tymczasem rozwinęły się, zasiał się wąs. Chłopak ma szesnaście, siedemnaście lat. Poczyna więc rzemiosło na własną rękę. Spotkał dziewczynę nieobojętną dla niego. Skoro ta już zajmuje się prostytucyą, rzecz prosta, on będzie ją strzegł od policyi, co ważniejsza pięścią swą powstrzyma zapędy innych kobiet publicznych i ich przyjaciół, nienawiścią obryzgujących każdy nowy towar na targu ciała, ona da mu połowę lub więcej zarobku. Jeśli jest robotnicą, nakłania ją łagodnie, potem zmusza do sprzedania się. Wskazuje ulicę, gdzie może chodzić. Nazywa się to: „lancer,“

„Przybyłam do Paryża z Bretanii, szukać miejsca. Na swą niedolę powiłam dziecko, rodzice wygnali z chaty. W Paryżu trudno było o miejsce. Co miałam grosiwa, utonęło w biurach mieszczeń. Pewnego wieczora wychodząc z biura, zostałam zagadniętą przez jakiegoś młodego człowieka, przyzwoicie ubranego. Pytał mię o warunki materyalne, zaprowadził na wieczerzę. Pozostałam z nim, oprowadzał mię przez tydzień po Paryżu, raz wziął na „bal.“ Lecz po tygodniu oświadczył, iż niema ani grosza, ale jest na to pewna rada. Mianowicie, gdybym zechciała itd.

Gdy opierałam się, rozebrał mię do naga, począł bić i groził wyrzuceniem przez okno. Z rozpaczy ustąpiłam. Co wieczór wskazywał dzielnicę, gdzie należało polować na gości, hotel, dokąd prowadzić. Koło północy wychodził z szynku sąsiedniego i odbierał odemnie pieniądze zarobione.

We dnie piliśmy razem i grali w karty. Nienawidziłam go, gardziłam nim, lecz nie znałam nikogo, a samej było bardzo tęskno i smutno. Pewnego razu spytał: Chcesz, byśmy wzięli krwawy ślub? Nie wiedziałam, co to znaczy, wyjaśnił, iż należało zwabić bogatego starca chodzącego za mną i ograbić. Prosiłam, aby nie zrobił mu nic złego. „To zależy — odrzekł — gdy będzie wierzgał, tem gorzej.“ Opierałam się. Znowu obił, a gdy wieczorem starzec poszedł ze mną, wpadł do izby i zażądał pieniędzy. Resztę wiecie: wobec oporu zaczął gościa dusić, na krzyk zbiegli się sąsiedzi i zostaliśmy uwięzieni.“

Opowiadanie to charakteryzuje bardzo dosadnie *souteneurów.* Za pomocą gróźb i razów utrzymują w posłuszeństwie dziewczyny, potrzebujące podpory. Ale na pasorzytnictwie nie kończą. Zajmują się zarazem kradzieżą, rabunkiem, często morderstwem.

W przeciągu ostatnich dwudziestu lat trybunał paryski skazał na śmierć przeszło stu podtrzymywaczy. W r. 1879 Gilles zabił wspólnie z Abadiem kobietę Bassengaud, a miał lat — 16. W 1881 Métrol i Mariez piętnastoletni zamordowali ośmdziesiąt trzyletnią staruszkę Bahu. W tymże roku Landrillon, kiedy zabił komisarza policyi Rongeata, nie liczył osiemnastu lat. Są to najmłodsi z *souteneurów* morderców. Najstarszym podobno Drogmatchoff, który w 1892 jako starzec sześćdziesięcioletni, od czterdziestu lat uprawiający rzemiosło, zabił kobietę, z której żył, posądzając ją o ukrywanie zarobku.

Nocą zbierają się w szynkach i napadają na przechodniów. Jest to przejście z kategoryi *souteneurów* do rabusiów nocnych. Metoda zaczepki zawsze ta sama. *Souteneur* trąca przechodnia, ten oburza się, inni nadbiegają, obalają i rabują. We dnie czynniejsi, zorganizowani w bandy lub pojedynczo, uprawiają „kambryolerstwo“ (cambriole w gwarze złodziejskiej — niezamieszkany pokoik). Dobremi narzędziami otwierają mieszkania, o których wiedzą, że lokatorzy nie są obecni, czasami uciekają się do pomysłów bardzo dowcipnych. W październiku 1892 gromada *cambrioleurów* pod wodzą Renarda, przebrawszy się za policyantów, wpadła do hotelu Panisse-Panis na jednej z głównych alei: avenue Marceau, „aresztowała“ i związała pod pozorem podejrzeń politycznych nadzorcę hotelu i złupiła, udając rewizyę, wszystkie komnaty. W przedmieściach i okolicznych wioskach wypróżniają wiele: z wozami przeprowadzającymi zajeżdżają spokojnie przed dom, również chwilowo niezamieszkany i oczyszczają go.

Główny zastęp, podobnie jak kambryolerzy przedstawiających osobną klasę złodziejów psów, stanowią także *souteneurzy.* Kradzieże te w stosunku do niewielkiego wysiłku przynoszą najlepsze zyski.

Na gwarnym bulwarze paryskim podczas kiermaszu człowieczek snać z klasy robotniczej postawił stolik. Wydobywa z kieszeni trzy karty, dwie czarne, jedną czerwoną i zaczyna je mieszać, błyskając wciąż przed oczyma patrzących czerwienią. Tych zaś już stoi gromadka. On dalej miesza.

— Pięć franków, kto postawi na czerwoną — woła wreszcie.

— Oho, ho ho, to nietrudno — odpowie ktoś z gromady. Ja stawiam.

Człowieczek położył trzy karty grzbietami na wierzch na stoliku. Stawiający kładzie na średnią.

Wyświeca: as czerwienny. Pięć franków wygranych.

Nowa stawka i znów ktoś z tłumu wygrywa. Liczba ochotników rośnie. *Bonneteur* — grzeczniś — tak nazwany dla swej uprzejmości, przed złożeniem kart na stole omal że nie pokazuje tego szczęście przynoszącego asa. Więc obcy wygrywają i wygrywają. Nareszcie kiedy namiętności dostatecznie rozgorzały w nich, *bonneteur* zręcznie przesuwa karty przed ustawieniem. Gdy były w górze, zdawało się, że as czerwienny po prawej ręce. Na stoliku po wyświeceniu okazał się w środku. Przegrana. Ale nic, to odbije się. Nowa stawka. Znów przegrana. Gracz rozpala się coraz bardziej i zazwyczaj wraca do domu z próżną kieszenią.

Grzecznisie operują grupami. Zawsze rozpoczynający grę są wspólnikami człowieczka przy stoliku. Wieczorem następuje podział zysków.

Burżuazya wśród *cambrioleurów*, rabusiów nocnych, wypróżniaczy wil, złodziejów psów, nic ma przedstawicieli. Lecz *souteneurów* i *bonneteurów* posiada. Prócz tych zasila wyłącznie swoimi siedem innych działów.

Grzecznisie burżuazyjni odziani są w futra i jeżdżą pierwszą i drugą klasą. Noszą miano „bobrów“ (castors). Przejście między nimi a ludowymi przedstawiają „pocieszyciele“ (consolateurs). Podróżują trzecią klasą i działają głównie w wagonach podczas jazdy. Zwłaszcza w okresie wyścigów w Suresnes i Auteuil. Suteneurzy stwarzają wdzięczne wdówki, przechadzające się w żałobie po polach Elizejskich lub w lasku Bulońskim. Ufraczony zalotnik znajduje łatwy wstęp do ich serca. Następują zwierzenia obustronne, potem spotkanie — w buduarze damy. Ale kiedy ubiegło pół godziny, do drzwi pokoju poczyna ktoś pukać, coraz silniej, wreszcie rozlega się gwałtowne bicie. „Wdówka“ w poczuciu winy pada na wezgłowie kanapy: ach, nic odkryła prawdy, jest zamężną i oto teraz małżonek, włamawszy się, zabije ich oboje.

Na szczęście krwiożerczość nie jest w skrzywdzonym małżonku najsilniejszym instynktem. Często wpada nawet bez rewolweru, lecz grozi zawsze skandalem uwodzicielowi, jeśli nie okupi się. Ugoda też przychodzi do skutku, schwytany w pułapkę płaci stosownie do umeblowania

*) L. Puibaraud, *Les malfaiteurs de profession.* Paryż 1894.

„skrzywdzonego,“ a małżonka znowu przybiera postać wdówki i wabi w sidła.

Obok tragicznych szubrawców są spokojni, „odnajmujący pokój.“ Kawaler, mieszkający w podobnej „pensyi,“ pozostaje wiernym długie lata. Gdy parę małżeńską opuszcza, daje zastępcę.

Wreszcie w trzeciej kategoryi: *lanceurów*, mężczyzna mebluje mieszkanie kobiety, po której spodziewa się znacznych zarobków i wyszukuje jej kochanków. Takimi *lanceurami* byli mordercy Prado i Pranzini.

Oszustwa małżeńskie wobec znacznej ilości biur kojarzących są liczne. I tu działacze — zawodowi. Panna X., która „popełniła błąd,“ „czuje się samotną, jako sierota bez ojca i matki,“ lub „jest z bogatej rodziny, ale chce poślubić szlachcica,“ ogłasza o zamiarach matrymonialnych. Znajduje się zbankrutowany hrabia, spieszy do osoby pośredniczącej. Chętnie pokażą mu fotografię, lecz musi złożyć kilka luidorów. Płaci. Nowa przeszkoda, do zwalczenia tylko przez luidory. W końcu przedstawiają go dziewicy. Przy „sierocie“ znajduje się wój, ciotka, stryjenka, bogaci, wykształceni, z antenatami. Konkurent czuje się u zenitu szczęścia, czasami żądają od niego na to i owo pieniędzy, lecz wynagrodzi mu to z procentem posag. Gdy go oskubano, panna „zmienia myśli“ i puszcza go z kwitkiem.

Czasami ubiega się kobieta. W jednym i drugim wypadku wyzyskiwacze wraz z „wujami“ i „ciotkami“ — najętemi za kilka franków—uprawiają rzemiosło przez długie lata. Puibaraud przytacza anegdotę o niejakim „ojcu Baptyście.“ Reprezentował zawsze wuja młodej, starego legitymistę. Pewnego razu uraczył się tak hojnie ponczem, że impresaryo — wymówił mu miejsce.

Przedsiębiorcy otwierają miejsca w kantorach. Lecz przed przyjęciem domagają się złożenia kaucyi. Będą od niej zresztą opłacać procent. Biedny poszukujący składa ostatni grosz. Po tygodniu dowiaduje się, że miejsce może otrzymać aż za kilka miesięcy, po kilku miesiącach wychodzi na jaw, iż przedsiębiorstwo nigdy nie istniało, nigdzie nie istnieje i że przedsiębiorca był — oszustem. Inni ogłaszają: Wypłacamy 1,200 franków składającym odrazu 500. Co miesiąc sto franków. Chętni składają 500 fr., pierwszego miesiąca otrzymują sto, drugiego rówież, trzeciego — kantor zmienił adres. Przeniósł się na księżyc.

Maitres chanteurs (mistrzowie śpiewacy) zowią się wyzyskujący chwilę zaufania. Czatują na osoby zwierzające się, w posiadaniu tajemnicy wyzyskują ją stałemi groźbami i żądaniem okupu. „Grecs“ utrzymują domy gry, „grivellerie“ systematyczne zapraszanie znajomych na swój koszt do restauracyi i opuszczanie ich w stosownej chwili.

Złodzieje kieszonkowi (voleurs à la tire), podobnie jak w Londynie, przebywają próby nauki na manekinie obwieszonym dzwonkami, posiadają często własne łowieckie obszary. Angielscy „pickpockets“ dołączają się do nich tylko w okresie wyścigów. Niemal codzień wydarzają się kradzieże „amerykańskie— á l'américaine.“

Z banku wychodzi otyły pan, świeżo napełnił kiesę złotem. Uśmiechnięty rozgląda się wesoło. Ale nie jest w rodzinnem mieście, więc na twarz występuje zakłopotanie, bo oto ma udać się na pewną ulicę, a nie zna drogi...

Przechodzi przy nim mieszczuch z parasolem. Szanowny panie — mówi amerykanin — gdzie jest ta a ta ulica?

Bardzo odległa. Potrzeba dwa razy iść na prawo, potem w lewo, wreszcie na końcu placu itd.

Trudno trafić. Amerykanin proponuje mieszczaninowi dwadzieścia franków, jeśli ten go zaprowadzi. Znakomita propozycya. Podążają obaj; zaprzyjaźniają się. Po drodze kawiarnia: wstąpmy. I gdy zasiedli przy stole, rozmowa jaśniej popłynęła. Piwo, szampan, wódki.

Amerykanin lub anglik opowiada łamaną francuzczyzną, iż przybył na zakupno jedwabiów lub klejnotów. Pokazuje swą torbę pełną pieniędzy. Oto maleńki kluczyk i złożony zamek.

Wtem czuje potrzebę zapalenia cygara. Dystrybucya bliziutko, kilka kroków. Ręka do jednej kieszeni, do drugiej niestety nic, prócz angielskich pieniędzy. Przyjacielu — mówi wówczas do towarzysza — weźcie moją torbę, bo się boję, aby mi jej jaki rzezimieszek nie skradł, a mnie pożyczcie na chwilę waszej sakiewki.

W dziewięćdziesięciu na sto wypadkach mieszczuch z torbą ucieka. Spiesznie wymknął się z kawiarni, otwiera — kiesa pełna piasku, szkła, co najwyżej drobnej monety.

„Amerykanin“ miał kilka toreb.

Rozdział o lichwie bardzo zajmujący. Jakkolwiek zabroniona przez prawo, sroży się niepomiernie. Śród ludu są „pająki“ (araignées), starzy, oberwani lichwiarze, pożyczający rano franka, wieczorem odbierający 1 fr. 25 c. Urzędników, klasę średnią wysysają „bankierzy.“ Charakterystycznem jest, że wypłacają gotówką tylko dziesiątą część długu. Pewien młody człowiek potrzebował dziesięciu tysięcy. Udał się do lichwiarza, podpisał weksel. Lichwiarz dał mu 800 franków, a po kilku dniach przyniósł następujący rachunek:

Trzydzieści pak pomarańcz po sto franków, razem trzy tysiące. Łódź jabłek normandzkich 1,200. Czterdzieści stołów refektarzowych po 50 fr., razem 2,000. Fortepian Erarda 1,800, obraz Corota 800, sto pudełek piór po dwa franki, razem 200. Chronometr 1,200. Razem 9,200. Dłużnik powinien był to sprzedać, chcąc mieć pieniądze. Gdy rozumie się po kilku dniach niczego nie zbył, lichwiarz „odkupił“ wszystkie towary za — tysiąc franków.

Dług liczył się wciąż: dziesięć tysięcy z procentami.

Słusznie mieści autor wśród przestępców zawodowych fałszerzy żywności. Paryskie mleczarnie w miesiącach udoju zapisują dziennie 200,000 litrów. Rozprzedaż wynosi 250,000. Na fałszowaniu wina traci Paryż i skarb państwowy 7,831,050 franków. Fałszerstwa masła, czekolady i pieprzu mimo kar są objawem stałym.

Do kategoryi przestępców zawodowych należą jeszcze szarlatani i spory procent hypnotyzero-spirytystów. (U nas by z nich wydobyto „nowe prawdy.“ *Red.*).

W. Bugiel.

HYGIENA W LITERATURZE I ŻYCIU.

III.

Najtrudniejsze chyba do zastosowania w życiu są przepisy, zalecane przez hygienistów ludziom pracującym umysłowo. Piękna jest zasada, podana przez Feuchterslebena: „Pomyślna praca umysłowa powinna zachować miarę; bez wytchnienia, ale i bez pośpiechu, powinna we właściwej godzinie zajmować się z ochotą właściwym przedmiotem, nie zaś *invita Minerva* (naprzekór upodobaniom); musi się zmieniać — na przemian z wypoczynkiem i rozmaitością przedmiotów. Umysł nasz taką posiada własność, iż odmiana zajęć daje nam więcej wypoczynku, niż spokój zupełny.“ Mało atoli historya przekazała nam faktów ścisłego trzymania się zasad hygieny przez pracowników umysłowych. Fontenelle rzetelnie wypełniał dewizę: niepozostawania ani jednego dnia bez pracy i nie pracowania żadnego dnia za wiele. Kant obok swych dzieł przekazał przyszłym pokoleniom ten ideał niedościgniony, który ściśle w swojem życiu wykonywał: osiem godzin pracy, osiem wypoczynku, czyli rozrywki i osiem — snu. Któż nie przyzna, że przy takim rozkładzie całej doby można być krzepkim, dzielnym, trzy lub cztery razy produkcyjniejszym, niż w warunkach nienormalnych? Ale do tego trzeba nietylko woli i warunków odpowiednich, lecz także osobnych uzdolnień i rysów charakteru. Wreszcie w tej epoce, która nam daje przykłady pedantyzmu w trybie życia uczonych, praca nie kipiała, nie płynęła tak wartko, jak dzisiaj, wiedza czysta była częstszem zjawiskiem, gdy dziś stosowana, czyli zaprzedana na usługi złotego cielca, wprzęgła tysiące ludzi do zajęć gorączkowych, trawiących. Uczony lub literat, artysta z zamiłowania, otoczony dobrobytem, oddający się pracy spokojnej w przestronnym, wygodnym gabinecie. Bal jakże mu łatwo zastosować się do zasady Kanta lub Fontenelle'a! Porównajmy z nim dzisiejszego pracownika w wiecznie czynnym kieracie produkcyi pośpiesznej lub na usługach fabryki „strawy duchowej,“ tj. bibuły dziennikarskiej. Niegdyś Kraszewski, siedząc w zaścianku, mógł z odległości setek wiorst redagować pismo peryodyczne; dziś redaktor i jego współpracownicy stali są przykuci do swego ogniska wytwórczości umysłowej, jakkolwiek przy własnych biurkach pracują. Najbardziej niszcząca siły praca dziennikarska nie daje wytchnienia częstokroć przez całą dobę, niektóre bowiem redakcye w celach konkurencyjnych wprowadziły robotę nocną. Dziennikarz jest więc w takich samych warunkach, jak telegrafista lub stacyjny urzędnik kolejowy; zachodzi tylko ta różnica, że gdy ci ostatni spełniają swą czynność niemal mechanicznie, on na forsowną, pospieszną pracę zużywa całą energię umysłową. Jeżeli chcemy wywołać uśmiech sarkastyczny na ustach tego pracownika, szepnijmy mu do ucha następujące twierdzenie dr. O. Dornblütha: „Kto umie wszystko czynić w swoim czasie i na wszystko czas znaleźć, ten rozwiązał zadanie zdrowej pracy umysłowej. („Hygiena pracy umysłowej,“ str. 56).

Hygieniści zapominają jeszcze o psychologii twórczości umysłowej. U nas odbywa się ona przytem w szczególnych warunkach. Poważny literat lub uczony, najczęściej zaprzedany czynnościom obowiązkowym dla chleba, chcąc się poświęcić pracy twórczej, urywa godziny od snu i wypoczynku, wyrzeka się wszelkich rozrywek. Jeżeli więc mamy wartościowe dzieła z dziedziny nauki i literatury, zawdzięczamy to właśnie najniehygieniczniejszym warunkom pracy. Zapędźmy takiego pracownika do snu w chwili, gdy umysł najbardziej jest usposobiony do twórczości, gdy energia ducha zapanowała nad znużeniem; byłaby to straszna krzywda dla niego. Ale nie każdy czytelnik zna tajemnice „tworzenia“; nie zawsze zapał lub natchnienie są głównymi czynnikami.

Słyszałem nieraz śród ludzi, nieświadomych rzeczy, podziwianie wyjątkowej „potrzeby tworzenia“ u Kraszewskiego. Była to istotnie potrzeba, ale nie „tworzenia,“ lecz bytu. *Musiał* i to bodaj czyniło jego duch niespożytym, to go popychało z łoża do biurka. W takich warunkach są niemal wszyscy nasi pracownicy umysłowi. Choroba, nawet ciężka, częstokroć musi ustąpić potrzebie pracy, a ta czasami nawet uzdrawia na razie, czego sam doświadczyłem. Kilkakrotnie udało mi się pracą pilną przemódz w ciągu dwóch godzin silny ból newralgiczny oka, który w innych warunkach nie ustępuje przez kilkanaście godzin lub całą dobę. Praca więc sama, dopóki trwa, bywa narkotykiem na niedomagania fizyczne, a cała jej nienormalność jest właśnie warunkiem płodnych rezultatów. Czasami wprawdzie sprowadza ona

pęknięcie serca lub naczyń krwionośnych w mózgu, zapalenie opon mózgowych; ale czy myśl o takich następstwach zdoła wyplenić ową nienormalność? Organizm nerwowy czuje największą pobudliwość w nocy, a umysł w tych godzinach ciszy najpiękniejsze rzeczy tworzy. Chodzi tylko o zwalczenie przypływającego od czasu do czasu znużenia, a od tego są narkotyki, kawa mocna, cygara, papierosy itd. W rezultacie bezsenność i wycieńczenie. Ale nie ma czasu na kuracyę np. w taki sposób, jaki zaleca Dornblüth; trzeba więc nowej podniety i to właśnie w dzisiejszych warunkach przedstawia jaki taki urok życia. Coby ono było warte, gdybyśmy je odebrali pracownikowi umysłowemu, gwoli ścisłemu wypełnianiu przepisów zdrowotnych? Zamknijmy takiego człowieka w ozdobnych złotych ramkach hygieny, zbudowanych przez różnych autorów, a zobaczymy, jak właśnie ta hygiena podziała nań... zabójczo. Wyobraźmy sobie męczarnie moralne waryata, któremu się zdaje, że jest ze szkła lub porcelany. Nie mniejszych udręczeń doznałby pracownik umysłowy, skazany na ścisłe wypełnianie przepisów hygienicznych. Nie dowodzi to wcale, ażebyśmy byli wrogami tych przepisów; jesteśmy tylko tego zdania, iż w takich jak obecne warunkach są one niewykonalne w całej rozciągłości.

Po za odłamem literatów, uczonych, profesorów, prawników, lekarzy, są jeszcze inne rzesze, sprzedające pracę mózgową, do których łatwiej byłoby zastosować stryczulec hygieniczny. Są to wszelkiego rodzaju biuraliści-urzędnicy, chodzący w deptaku swych obowiązków lata całe bez przerwy. W niektórych zawodach stałe wakacye istnieć nie mogą, gdyż niepodobna zawiesić w nich czynności nawet na krótko. Otóż słuszna jest uwaga dr. Dornblütha, że wydawanie urlopów w takich razach nie należy uważać jako rodzaju nagrody lub gratyfikacyi, lecz jako proste, konieczne urządzenie. „Niektóre instytucye, gdzie urzędnicy pełnią szczególnie męczącą służbę umysłową, zapominają o tym hygienicznym punkcie widzenia i wydają urlop dopiero w razie choroby. Takie postępowanie mści się czasem na całem urządzeniu, gdyż odmawianie corocznego należytego wytchnienia zmniejsza sprawność i wyczerpuje zdrowie urzędnika.“ Uwagę ową można wybornie skierować także pod adresem wielu naszych instytucyj.

Jeżeli widzimy prawie niemożliwe do pokonania trudności wcielenia hygieny do życia dorosłych pracowników umysłowych, to znowu dałyby się osiągnąć nieocenione rezultaty po wprowadzeniu jej do nieletnich kandydatów, w wychowaniu domowem i szkolnem. W pierwszym wypadku nauka częstokroć bywa przedwczesną, a nadto jeszcze w drugim okresie, tj. podczas uczęszczania do szkół, kształcenie domowe nie kończy się; dziecko obarczane bywa przedmiotami ubocznymi, niezależnie od ćwiczeń zadanych w uczelni. „Dzielni pedagodzy — powiada Kornig („Jak się obchodzić z nerwowymi?“) — uznali niemal zgodnie, że domowe roboty są tylko świadectwem pedagogicznego ubóstwa samych nauczycieli.“ Ostatnimi czasy w Prusach daje się spostrzegać ruch około reformy szkolnej w duchu hygienicznym. Ta sama dążność i u nas silnie się ujawnia obecnie. Może więc, gdy warunki hygieniczne będą uwzględnione w pedagogii, z czasem hygiena wejdzie do programów szkolnych, jako przedmiot obowiązkowy.

Dodatni ruch widzimy także w ćwiczeniu sił fizycznych śród różnych sfer i zawodów. Gimnastykę wprowadziło Towarzystwo pracowników handlowo-przemysłowych w Warszawie i Łodzi, duchowieństwo zaleciło ją także w seminaryum. Ludzi fachowych do nauczania tego przedmiotu przybywa coraz więcej, między innymi panna Helena Kuczalska, po pewnej praktyce na gruncie skandynawskim, przeszczepiła na warszawski gimnastykę szwedzką dla dzieci i szwaczek. Wogóle ćwiczenia fizyczne coraz więcej nabierają uznania i zyskują zwolenników, a wślad za tym ruchem w praktyce, zaczyna się wzbogacać odpowiedni dział literatury. W roku zeszłym przyswojono naszemu językowi aż dwa podręczniki tego rodzaju: dr. M. Schrebera „Gimnastykę leczniczą pokojową“ i Jerzego Demeny'ego „Zasady wychowania fizycznego w Szwecyi.“ Po za tem rozwija się ruch sportowy; wioślarze i cykliści mają już swoją sławę, w zimie obecnej powstał klub łyżwiarzy, wreszcie ma wkrótce się zawiązać stowarzyszenie gimnastyków w Warszawie. Z przyjemnością witamy ten rozwój życia sportowego, który jaką taką równowagę fizyczną wprowadzi, ochroni chociaż w części od charłactwa i gnuśnienia. Dzięki temu, może z czasem będziemy mniej spotykać na ulicy i na zebraniach towarzyskich takich typów, które mimowoli nasuwają pamięci urywek z dawnej piosenki:

> Dziś z laseczką idzie panicz blady,
> Nosi na sobie różnych chorób ślady...

Tymczasem pocieszajmy się objawami chociaż tej słabej walki z niedołęstwem fizycznem i wygnawszy z serca egoizm, radujmy się myślą, że z czasem antropologia odegra ważną rolę w rozwoju społecznym, że przyszłe pokolenia ujrzą ideał rasowego człowieka, wytworzonego przez uświadomioną antropotechnikę.

Zenon Pietkiewicz.

LIBERUM VETO.

Mowa Brunetière'a przeciwko prasie. — Przyczyny zniżenia się poziomu umysłowego dziennikarstwa. — Kolonie letnie i praca dzieci wysyłanych na wieś. — Nowe zmartwychwstanie *Niwy*. — Obecny jej charakter. — Co już dziś na jej korzyść uznać można.

Znakomity krytyk francuski, Brunetière, redaktor *Revue des deux mondes*, wstępując przed paru tygodniami do Akademi, zamiast mowy pochwalnej dla swego poprzednika, wetknął kij w gniazdo os dziennikarskich. Była to niespodzianka podwójna: naprzód jest on sam dziennikarzem, więc ze względów „etyki“ cechowej powinien był sławić swoich towarzyszów; powtóre nieroztropną i niebezpieczną rzeczą wyzywać przeciw sobie ten rój z jadowitemi żądłami. Jakoż podrażnione osy wyleciały ze wszystkich kryjówek nietylko Francyi, ale całej Europy, zbiły się w jedną chmurę i zaczęły kąsać śmiałka. Brunetière dotknął je dwoma zarzutami, mianowicie wystąpił on przeciw obniżeniu poziomu umysłowego dziennikarzów i prasy, która stała się żniwiarką najmizerniejszych nowinek. Nie badając aktów osobistych, z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić można, że na 10 dziennikarzów europejskich zaledwie jeden posiada jakiś talent literacki. Z drugiej strony niepoliczona masa próżniaków, którym wychowanie nie dało żadnych szlachetniejszych potrzeb umysłowych i których los uwolnił od filozofii — wymaga od piśmiennictwa leciuchnych podrażnień, sprzyjających trawieniu — nowinek. Ci ludzie chcą mieć także swoją literaturę, która by ich uwalniała od rozmaitych trudnych zagadnień, głębokiej mądrości, zawiłych spraw, rosterek duchowych, a natomiast powiadamiała ich szybko i szczegółowo o morderstwach, kradzieżach, ślubach, rozwodach, balach, wyścigach, wszelakich skandalach itd. Ponieważ zaś takich amatorów jest bardzo wielu a za spełnienie swych życzeń płacą, więc prasa stara im się dogodzić. Jeżeli właściciel sklepu sprowadza pewien rodzaj materyi, która jest rozkupywaną, dlaczego wydawca dziennika nie ma sprowadzać nawet telegrafem z Paryża do New Yorku opisu jakiejś głośnej sprawy kryminalnej, która zaciekawia tysiące czytelników? Czy chcecie, ażeby on kazał sobie przysłać drutem treść dzieła Helmholtza? Któż mu za to zapłaci? Brunetière odkrył i powiedział to, co dawno przed nim odkryto i powiedziano, jego zaś występ ma tylko wartość pomnożenia dowodów świadomości istotnego stanu rzeczy i wzmocnienia protestu. Nie chodzi tu bowiem o poprawę i usunięcie zła: kto sądzi, że morałem wygłoszonym uroczyście nawet z wysokiej kazalnicy Akademii zmieni naturalny wytwór życia, jakim jest prasa plotkarska, ten godzien ścigać się w naiwności z niemowlętami. Pomimo wszystkich krytycznych wichrów i podmuchów, olbrzymia rzeka nowin płynąć będzie jeszcze długo w przyszłości jako główna arterya literatury. Ale uznając niezłomną konieczność faktu, składajmy przynajmniej świadectwa, żeśmy go rozumieli, oceniali i złorzeczyli mu. Po co? Albo ja wiem po co? Może kryje się w tem słaba nadzieja wpływu a może tylko zwyczajna próżność uwiadomienia potomków, że między ich przodkami byli tacy, którzy buntowali się przeciwko głupstwu i nie chcieli jeść klusek z dziennikarskich trocin. Tyle jest na świecie ambicyj gorszych, że do tej przyznać się można. Pewien rejent, syn prostego i ubogiego rodzica, stracił wiele starań na to, ażeby mu do nazwiska pozwolono przyczepić znany przydomek, czemużbyśmy więc nie mieli zasługiwać sobie na prawo do zaszczytnego tytułu u potomności?

Komitet kolonij letnich już rozpoczął starania o przytułki wiejskie dla tych biedaków. Domy odpowiednie i środki na utrzymanie znajdą się — o tem nie wątpię, pozwolę jednak sobie zwrócić uwagę organizatorów na jeden punkt tej sprawy, który niepotrzebnie dotychczas jest omijany. Na kolonie letnie wysyłane są dzieci w wieku od lat 8—13. Co one robią? Śpią, jedzą, chodzą, kąpią się itd. Otóż dlaczego przynajmniej starsze nie miałyby zająć się czemś, co nie przeciążałoby ich sił a dawało wzmacniający ruch i... korzyść materyalną. Na wsiach jest bardzo wiele robót drobnych, lekkich, do których dzieci bardzo się nadają. Z wielu przytoczę jedną. Wszędzie, gdzie istnieją chmielniki, do obierania swyszek używane są dzieci. Nie znam tej czynności, ale podobno jest ona bardzo prostą i łatwą. Mali najemnicy wynagradzani są od sztuki. Przypuszczam, że jedno dziecko nie ponosząc żadnej szkody w zbytniem utrudzeniu i nie tracąc zwykłych dobrodziejstw przebywania na świeżem powietrzu, mogłoby zarobić 15 kop. dziennie, czyli przywiozłoby sobie do Warszawy oprócz zdrowia parę rubli w kieszeni. Sądzę nawet, że takie lub inne zajęcie uprzyjemniałoby malcom życie w kolonii, w której oni nieraz zapewne się nudzą. Chodzić, spać, kąpać się — to na kilka tygodni nie wystarczy największym swawolnikom. Myśl ta nasuwa obawę wyzysku dzieci i chybienia celu przedsiewzięcia filantropijnego, ale przecież kieruje niem organizacya ludzi rozumnych, którzy mogliby ułożyć warunki dla zajęć, a przy każdej gromadce dzieci znajduje się opiekunka, któraby dopilnowała ich dobra.

Nie powitaliśmy dotychczas wielokrotnego zmartwychwstańca naszej prasy, który już kilka razy umierał i znowu był wskrzeszony — dwutygodnik *Niwy*. Ile on już przechodził postaci i strojów! Nad pismami, jak nad ludźmi, zawisa czasem niewytłomaczony fatalizm, który udaremnia wszelkie wysiłki i ostatecznie spycha je do grobu! *Niwę* obsiewali i postępowcy, i konserwatyści — nigdy ona bujnych plonów

nie wydała, pomimo że to samo ziarno, temi samemi rękami rzucone w inny grunt, rozrastało się pomyślnie. Obecnie *Niwa* przeszła pod redakcyę p. T. Szabłowskiego i zamierza być organem sprawozdawczo-naukowym. Trudno nie sympatyzować z takiem przedsięwzięciem, więc mu życzę szczerze powodzenia. Czy ono jednakże podejmie zadanie przez innych niespełnione, czy zadość uczyni potrzebom rzeczywistym a dotąd niezaspokojonym, czy zbierze odpowiednią ilość sił umysłowych i zastęp czytelników — trudno orzec. W pierwszych numerach nie widzimy nic nadzwyczajnego, ale widzimy jeden objaw wysoce dodatni i dla prasy naszej bardzo pożądany — poważne traktowanie rzeczy. Nie ma nic wstrętniejszego i szkodliwszego dla umysłowości naszej, niż owe wydawnictwa dziennikarskie, usiłujące nadać sobie znaczenie i zdobyć czytelników wrzawą, swawolą języka, zuchwałą impertynencyą, łobuzeryą lub chamstwem, czerpiącem w pogardzie ludzi uczciwych i rozumnych bezkarną swobodę dla swych wycieczek. W *Niwie* nie dostrzegliśmy ani zuchów, trzymających ciągle w rękach błoto, ani Katonów, rozdzierających sobie gardła zniewagami. To już wiele znaczy.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Kąpiele ludowe. *Kuryer warszawski* obwieścił bardzo ważną wiadomość. Dzięki staraniom prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego, p. Ludwika Górskiego i dr. Tchórznickiego ze Sterdyni, powstanie w tej miejscowości łaźnia parowa. Za przykładem inicyatorów postanowili pójść obywatele okoliczni, pp.: Franciszek Górski z Ceranowa, Stanisław Rzewuski z Łazowa, Ignacy Łupiński z Wszebor, Franciszek Grabowski z Kossowa, Edmund Kuszel z Kossowa, dr. Paweł Zdanowicz z Nowej Wsi, Władysław Zakrzewski z Grodziska, hr. Adam Starzeński z Kuzowic i Michał Tchórznicki z Sabni. Łaźnie we wszystkich tych miejscowościach mają być zbudowane na wiosnę. Fakt te zasługuje na podkreślenie i uznanie. Istnieje przysłowie, że na brudnym człowieku rzepę siać można. Chłop nasz w większości jest tak brudny i niechlujny, że nietylko rzepę, ale i inne ziemiopłody można byłoby na jego skórze uprawiać, może z większem powodzeniem, niż na glebie piaszczystej. Ludzie ci, przy ciągłej pracy fizycznej, zwłaszcza latem, najbardziej mają gościnną skórę na przyjęcie brudu; tłuszcz i pot miesza się z kurzem i tworzy powłokę trudną do zmycia, nawet przy użyciu środków silnie działających. Jeszcze gdzie są rzeki lub stawy, włościanie chętnie się kąpią, nie dla czystości, lecz dla ochłodzenia się. Ale większość naszych wsi i osad zaledwie posiada liche studnie, które mogłyby wprawdzie dostarczyć wody na urządzenie prysznicu, lecz o tem nikt nie myśli. Łaźnie, to najodpowiedniejsza forma kąpieli, może bowiem być czynna w każdej porze roku i przytem skutecznie oddziela brud od ciała. Szczerze zatem życzymy, ażeby udogodnienie, zapowiedziane przez ziemian powyższych, znalazło jak najliczniejszych naśladowców w kraju.

Kąpiele, to jedna z pierwszorzędnych potrzeb dla ludu wiejskiego, chociaż on, z natury warunków wsi i rodzaju pracy, o wiele jest czystszy, aniżeli robotnik fabryczny lub górnik. A jednak Łódź, Dąbrowa, Sosnowice i inne ogniska przemysłu nie mają prawie wcale kąpieli dla warstw pracujących. Urządzone z własnego popędu przez niektórych przedsiębiorców, należą do bardzo rzadkich wyjątków. Ogół tych panów nie rozumie własnego interesu, nie domyśla się, że czystość wzmacnia i zachowuje siły, a tem samem zwiększa produkcyjność pracy robotnika. Za granicą interesowani ocenili dobrze ten warunek, a przytem kąpiele tanie same przez się przynoszą zyski znaczne, pomimo cen bardzo niskich. W Niemczech ogromnie są rozpowszechnione kąpiele natryskowe, rozsiane w licznych miastach i miasteczkach. Cały koszt urządzenia tych zakładów, mieszczących po 10—12 celek, wynosi 12—16 tysięcy marek; ciepła zaś lub zimna kąpiel natryskowa wraz z bielizną i mydłem kosztuje tylko 10 fenigów, czyli 3—5 kop. Taksa owa jest zupełnie wystarczająca nietylko na pokrycie wydatków, opłatę usługi lub kupno mydła, bielizny itd., ale jeszcze daje znaczne zyski przedsiębiorcom. Ponieważ atoli kąpiele przy fabrykach są jednym ze środków zwiększenia produkcyjności sił roboczych i przytem — warunkiem czuwania nad zdrowiem warstw robotniczych, więc zakłady te powinny być jeżeli nie całkiem bezpłatne, to przynajmniej uprzystępnione drogą pobierania bardzo skromnej opłaty (np. kopiejkowej) na koszt utrzymania. Miejmy nadzieję, że z czasem kąpiele takie wejdą w program przepisów administracyjnych, jak np. szkoły lub szpitale. Wtedy fabrykanci będą wprawdzie odarci z szat dobroczyńców, filantropów, a reporterzy stracą jedną sposobność odśpiewywania na ich cześć hymnów, ale za to armie robotnicze zyskają możność utrzymywania się w czystości. Nie wyobrażajmy sobie atoli, iżby przymus jednostronny doprowadził w zupełności do celu. Przyjrzyjmy się warstwom ukształconym, a przekonamy się, że śród niej większość czuje wstręt do mydła i, o ile przyzwoitość nakazuje, umywa tylko części ciała na pokaz wystawione. Znamy takich, którzy po dwa, trzy lata nie kąpali się wcale. Czyż można dziwić się wobec tego, że robotnik nieukształcony i niemający najmniejszego pojęcia o znaczeniu hygieny, zupełnie lekceważy czystość? Otóż i względem niego po wprowadzeniu kąpieli należałoby przymus zastosować, aż do chwili, gdy ręcznik i mydło nauczy się tak cenić, jak strawę i wypoczynek. Ktoś na tę radę naszą może się oburzyć i wskazać inny sposób: popularyzowanie przepisów zdrowotnych za pomocą żywego lub drukowanego słowa. Jest to środek zbyt kłopotliwy i powolnie działający tam, gdzie pożyteczną i niezbędną nowość odrazu należy wprowadzić.

Drogomir.

Lublin. Prawdopodobnie miasto będzie już miało wkrótce telefony. Dotychczas zapisało się 44 abonentów, którzy oprócz jednorazowych kosztów urządzenia, zobowiązali się płacić zarządowi pocztowo-telegraficznemu po 75 rs. rocznie. Plany i kosztorysy są już opracowywane, komunikacya zaś ma być już w lecie wprowadzona. — Kółko kapitalistów zainteresowane jest sprawą budowy cukrowni w Lublinie. Zebraniem udziałów zajmuje się prezes miejscowej dyrekcyi szczegółowej, p. E. Świeżawski. Lista podpisów jest już zamknięta; kapitał zebrano większy, niż zakreślono, ochotników zaś do nowego przedsiębiorstwa nie brak; ciągle się zgłaszają nowi. — Rozstrzygnięto tu ciekawą sprawę o fałszerstwo mąki, dostarczonej na potrzeby wojska; dosypywane były otręby, śmiecie i kąkol. Oddano więc pod sąd współwłaścicieli młyna parowego, M. Blechmana i Moszka Erlicha tudzież ober-müllera K. Wejmara. Jako rzeczoznawcę, sprowadzono z Warszawy prof. Milicera. Blechman i Erlich skazani zostali na pozbawienie praw i dwa latata rot aresztanckich, Wejmar — na rok rot aresztanckich.

Łódź. W ostatnich dniach kilka upadłości zaniepokoiło i pognębiło znaczną liczbę osób interesowanych. Największe wrażenie wywarło zawieszenie wypłat fabryki wełny czesankowej, której pasywa wynoszą przeszło 75,000 rs. Przyczyną takiego stanu rzeczy podobno była niewypłacalność odbiorców zamiejscowych. Inne pomniejsze bankructwa spowodował panujący od paru miesięcy brak gotowizny. Daje się również odczuwać przesilenie w niektórych działach tkactwa, co jest przypisywane nadmiarowi wyrobów. W kronice bieżącej zanotować trzeba jeszcze jedną klęskę — pożary. Dnia 13 b. m. spłonęła parowa pralnia wełniana, złożona z 60 warsztatów (firmy Kranich Drews). Straty wynoszą około 60,000 rs. D. 8 b. m. powstał pożar w gmachu fabrycznym Schweiherta i również wyrządził straty dość znaczne, chociaż w jednym i drugim wypadku są one dla fabrykantów pozorne, gdyż zwykle dobrze się ubezpieczają. Głównie więc pożary są klęską dla warstw robotniczych, które na razie tracą zarobek. — Zarząd miejscowego Towarzystwa dobroczynności postanowił wybudować dom przytułku dla kalek i starców na 200 osób. W tym celu odwołano się do zamożniejszych przemysłowców i kołatanie nie pozostało bez skutku. Towarzystwo akcyjne Scheiblera ofiarowało 20,000 rs., p. Anna Scheiblerowa 20,000 rs., p. Karol Scheibler 5,000 rs., prezes Tow. dobroczynności, p. Juliusz Heinzel 20,000 rs., p. L. Geyer 5,000 rs., Edward Herbst 5,000 rs. Tymczasem na początek zebrano dość pokaźną sumę 85,000 rs. Sumę zaś kosztorysową budowy przytułku obliczono na 130—150 tysięcy rs.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Cech introligatorów w Warszawie postanowił sporządzić chorągiew ze składek dobrowolnych.

— We Lwowie prezesem Towarzystwa politechnicznego wybrano ponownie bar. Romana Gostkowskiego. Towarzystwo liczy 634 członków, biblioteka 650 dzieł, fundusz żelazny 1513 złr.

— *Gaz. świąteczna* donosi o liście, nadesłanym z Roterdamu pewnemu pisarzowi gminnemu z propozycyą zachęcania włościan do wychodźtwa, za co spekulanci mają płacić po 5 rs. od głowy.

— W Rzymie ogłoszono brewe papieskie, ograniczające przywileje honorowych kanoników wszechkościołów.

— Hr. Kazimierz Kulczycki, powołany do Palermo przez wielkorządcę Sycylii, jako komisarz królewski, okazał się nieubłaganym dla spółek zbójeckich, uciskających i wyzyskujących kraj.

— Departament policyi ogłasza, że Brazylia wzbroniła przyjazdu wychodźców ruskich.

— Otwarto nowe kasy oszczędności w Werkach gub. wileńskiej i Wysokiem gub. smoleńskiej.

— Pisma codzienne podały następującą wiadomość: Duchowieństwo katolickie w Królestwie Polskiem otrzymało rozporządzenie od swych biskupów tej treści: „Na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych przyjęto za zasadę, aby cała korespondencya, wychodząca od duchowieństwa i instytucyi duchownych katolickich była od dn. 13 lutego r. b. prowadzona w języku ruskim, z wyjątkiem podań o dyspensy, które po łacinie winny być pisane.

Szkoły. Postanowiono ułatwić kształcenie pedagogów przy uniwersytetach dla objęcia wykładów w szkołach średnich.

— Ze względu, iż młodzież, kończąca szkoły średnie, nie posiada wiadomości specyalnych, *Birż. Wied.* kładą nacisk na potrzebę poparcia projektów otwierania instytutów handlowych z kursem dwuletnim.

— Zatwierdzono projekt otwarcia szkoły przemysłowej pięcioklasowej w Moskwie.

— Ministeryum oświaty zaprowadza pracę ręczną we wszystkich zakładach naukowych ogólnych.

Zmarli. August Cieszkowski w Poznaniu; filozof. Ur. r. 1814, uniwersytet skończył w Berlinie, był jednym z założycieli *Biblioteki warsz.* Ważniejsze jego prace: *Prolegomena zur Historiosophie* (Berlin 1838), *Du crédit et de la circulation* (Paryż 1847), *Got und Palingenesie* (Berlin 1842), *De la pairie et de l'aristocratie moderne* (Paryż 1844). „Rzecz o filozofii jońskiej, jako wstęp do historyi filozofii“ (1841). „Ojcze nasz, studyum filozoficzne“ (1855). Posłował na sejm berliński, napisał sporo artykułów i broszur z dziedziny ekonomicznej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Марта 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.